

TYGODNIK ILLUSTROWANY



Z CYKLU: TĘSKNOTA

Z. BADOWSKI

IGN. CHRZANOWSKI:

Sąd estetyka niemieckiego o Mickiewiczu.

W najpiękniejszym ze wszystkich rozdziałów swojej „Historii literatury polskiej”, w rozdziale o „Panu Tadeuszu”, mówi prof. St. Tarnowski, że nosił się Mickiewicz z myślą napisania niewielkiego obrazka, w rodzaju Hermana i Doroty, „a tymczasem z pod jego ręki wychodzi poemat w rodzaju „Odysei”, — jedyny w świecie chrześcijańskim, więcej, bo na świat chrześcijański i starożytny jedyny, który *Homere nie jest, ale się do Homera zbliża*” (jak się wyraził Klaczko). A dalej: „Prawie się doznaje obawy i niedowierzania, wymawiając takie słowo; prawie się człowiek lęka, czy się nie łudzi, czy to nie iluzja miłości własnej: bo, jeżeli ten poemat jeden na świecie zbliża się do Homera, więc musi być, oprócz Iliady i Odysei, najpiękniejszym poematem epickim, jaki jest na świecie, jakiego nie dał staremu Rzymowi Wirgiliusz, ani nowej Italii Ariost ani Tasso, ani Camoëns pirennej półwyspie, ani Milton Anglii, ani pierwotna Zaga Niemcom, więc nikt, nigdzie takiego niema, tylko my jedni? dawna Grecja i my? Nie chce się wierzyć takiemu szczęściu, a przecież tak jest: to nie złudzenie, nie zarozumiałość, to szczerza prawda, a my tylko dlatego nieśmiało o niej mówimy, że sami jedni o tej prawdzie wiemy, że, oprócz nas, nikt tego „Tadeusza” nie zna, nikt naszego wrażenia i sądu potwierdzić nie może. Takie potwierdzenie byłoby dla nas rozkoszą i dałoby nam pewność niezachwianą, pewność taką, jaką mają Niemcy o Göthem, Anglicy o Szekspirze; nieszczęściem, nasz język nieznan, najpiękniejsze skarby naszej poezji są dla obcych zamknięte, nieprzystępne, i nie wiem, jak długo jeszcze obchodzić się będziemy musieli bez tej radości, żeby widzieć świat u stóp Mickiewicza, na kolanach przed „Tadeuszem”. Przykro to wyrzec się tej sankcji i tego widoku, przykro być samym w uwielbieniu ludzi i rzeczy, którym się należy uwielbienie wszystkich, ale, choć tej sankcji, tego dowodu nie mamy, wierzyć śmiało, że mielibyśmy ją niezawodnie, że w naszym wrażeniu, w naszym sądzie o „Tadeuszu” jest prawda”.

Piękne te słowa, tak mocno dźwięczące uwielbieniem i miłością ku „Panu Tadeuszowi”, są nadto pesymistyczne.

Prawda, że długo, bardzo długo będziemy musieli czekać, aby „widzieć świat u stóp Mickiewicza, na kolanach przed T a d e u s z e m”, bo na to potrzeba nie tylko tego, żeby świat „Pana Tadeusza” czytał, ale nadto, żeby świat był lepszy, żeby rozumiał i odczuwał cudowną piękność ideałów mickiewiczowskich: ale, żebyśmy sankcji swojego wrażenia i sądu o „Panu Tadeuszu”, jako o wielkiem arcydziele poezji wszechświatowej, nie mieli znaleźć u obcych, — nie, tak źle nie jest, na szczęście.

Jeżeli idzie o sankcję pośrednią, znaleźć ją nietrudno w różnych studiach estetycznych, w jakie tak bardzo obfituje dzisiejsza nauka europejska.

Zajrzyjmy np. do pięknej, szlachetnej książki Guyau: „*L'art au point de vue sociologique*”: jeśli prawdą jest to wszystko, co autor mówi o stosunku rzeczywistości do ideału w poezji, to czy z tego stanowiska można nie uznać „Pana Tadeusza” za arcydzieło poezji?

Bo czy jest w literaturze wszechświatowej drugi taki poemat, w którymby rzeczywistość i ideał tak doskonałą, tak cudowną tworzyły harmonię? A ze stanowiska tej cechy, która, zdaniem Guyau stanowi najistotniejszą znamię i najwyższą wartość sztuki, cechy, na której oparł on cały swój system estetyczny, czy jest inaczej? *L'oeuvre la plus forte d'après nous, doit être la plus sociale, celle qui représente le plus complètement la société même où l'artiste a vécu, la société d'où il est descendu, la société qu'il annonce dans l'avenir et que l'avenir réalisera peut-être*: czy wiele utworów poezji europejskiej może się pod tym względem równać z „Panem Tadeuszem”? Równie niewiele z pewnością, jak niewielu poetów na świecie dorównało Mickiewiczowi w tem, co Guyau poczytywał za niezbędną, za najistotniejszą cechę geniuszu: *Le génie est une puissance d'aimer... l'art c'est de la tendresse*.

Inny przykład. Słusznie twierdzi Brunetière, że sztuka czysto osobista o tyle tylko jest prawdziwą sztuką, o ile się artyście powiodło nadać jej charakter — bezosobisty; że pierwiastek podmiotowy wówczas jedynie przekroczy ciasne szranki jednostronności psychologicznej (albo też patologicznej) i wkroczy do dziedziny sztuki, kiedy się, dzięki artyście, uprzedmiotowi (*en s'objectivant*): i znowu, najpiękniejsze utwory Mickiewicza są wspaniałym stwierdzeniem tej zasady! Zwłaszcza „Pan Tadeusz” służyć może, jako niedościgniony wzór obiektywizacji pierwiastków podmiotowych, wzór podniesienia ich do wysokości ogólnoludzkiej.

Takich sądów estetycznych, utwierdzających nas we wrażeniu i mniemaniu, że „Pan Tadeusz” to naprawdę arcydzieło poezji, można przytoczyć cały legion — z dzieł najznakomitszych estetyków francuskich, niemieckich, angielskich (np. z W. J. Courthope'a, autora najlepszej historii poezji angielskiej i wybornego studium „O życiu w poezji”, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli estetyki ściśle indukcyjnej, opartej na uogólnianiu rezultatów analizy arcydzieł sztuki wszechświatowej). Ale przytaczać ich nie będziemy, odsyłając czytelnika do gruntownej pracy uczonego krytyka i estetyka, Matuszewskiego, o „Stanowisku Mickiewicza w literaturze wszechświatowej”: wykazuje tu autor drogą bezstronnej analizy najistotniejszych cech poezji Mickiewicza (którą sądzi, jak mówi, „nie ze stanowiska rodaka, lecz ze stanowiska cudzoziemca”), że „utwory Mickiewicza posiadają w sobie takie same pierwiastki trwałości, jakie odnajdujemy we wszystkich arcydziełach, uznanych dzisiaj za wszechświatowe”; że, gdyby Mickiewicz pisał po francusku, lub niemiecku, to można bez przesady przypuścić, że wpływ i sława jego, wsparte przyjaźniejszymi warunkami zewnętrznymi, dosięgłyby napięcia i blasku, jaki bije od imion innych poetów wszechświatowego znaczenia”; że „ma prawo do tytułu poety wszechświatowego, niezależnie od tego, czy go poza Słowiańszczyzną znają i rozumieją, lub nie”.

Lecz i poza Słowiańszczyzną są tacy, którzy go znają. Ale nie wszyscy są powołani do wydania bezstronnego i sprawiedliwego sądu o wartości jego poezji.

Niewielka to np. dla nas pociecha ani duma wiedzieć, że za wielkiego poetę poczytuje Mickiewicza jeden z jego następców na katedrze literatury słowiańskiej w *Collège de France*, L. Léger, jeżeli się wie, że ze świecą wśród „uczonych” szukać równego, jak on, blagiera i dyletanta. Więcej już wagi posiada

dla nas sąd Brandesa, który nazwał „Pana Tadeusza” jedyną epeją w poezji europejskiej XIX wieku, chociaż i sądom Brandesa zbyt bezpiecznie ufać nie można. Ceniony w swoim czasie powieściopisarz niemiecki, Willibald Alexis, zapewnia, że poznał i ocenił wszystkie piękności „tej jedynej w dziejach nowszej poezji epeji”: ale, czy wiele tych piękności zawiera w sobie liche przekład Spaziera, z którego znał Alexis „Pana Tadeusza”?

Niewątpliwie kompetentnym sędzią poezji był historyk, krytyk i estetyk niemiecki, Jan Scherr, autor dwukrotnie na język polski tłómaczonej „Historii literatury powszechnej”; cenił on poezję Mickiewicza, którego do „królów poezji” zalicza, bardzo wysoko, zwłaszcza „Improwizację” i „Pana Tadeusza”: ale, kto wie, może ktoś wytłómaczy sobie jego sądy o Mickiewiczu tą żywą, szczerą, gorącą sympatią, jaką żywił ku nam Scherr — wespół z niejednym ze swych rówieśników, np. z takimi poetami, jak Gustaw Schwob, Franciszek Gaudy, Alfred Meisner. A może na karb takiejże sympatii ku Polsce położyłby sceptyk sąd o Mickiewiczu, wypowiedziany przez literata francuskiego, G. Sarrazin'a, którego miłą, ale płytką książkę o naszych trzech wielkich poetach posiadamy w przekładzie polskim.

Otóż, komu nie wystarczają sądy o Mickiewiczu, wygłoszone przez wymienionych (i innych jeszcze) krytyków cudzoziemskich, ktoby pragnął, żeby go w mniemaniu o wielkości Mickiewicza utwierdził sąd jakiejś „powagi”, uczonego, a bezstronnego estetyka i zarazem estety, ten znajdzie to, czego szuka, w pismach filozoficznych, krytycznych i estetycznych najznakomitszego dzisiaj (obok Teodora Lippsa) estetyka niemieckiego, profesora filozofii w uniwersytecie lipskim (który, jak wiadomo, nie grzeszy sympatią ku narodowi polskiemu), Jana Volkelta.

Rozległością erudycji filozoficznej, systematycznością wykładu i ścisłością metody naukowej od Lippsa nie niższy, przewyższa go nie tylko jasnością i przystępnością pisania, ale nadto wyjątkowo szeroką znajomością sztuki, zwłaszcza poezji wszechświatowej, i żywym, wykluczającym tak częste u estetyków fachowych sekciarstwo estetyczne, odczuciem różnych rodzajów i prądów twórczości artystycznej. Świadczą o tem wszystkim wymownie jego dzieła: „Grillparzer, jako poeta tragizmu”, „Zagadnienia estetyczne na czasie” (*Aesthetische Zeitfragen*), „Estetyka tragizmu”, „Pomiędzy poezją a filozofią” oraz „System estetyki” (dotychczas tylko tom pierwszy).

W długim szeregu najwybitniejszych twórców słowa od Homera i Kalidasy do Ibsena i Maeterlincka, Sienkiewicza i Tołstoja, twórców, których arcydzieła są źródłem i podstawą wywodów i poglądów Volkelta w zakresie estetyki poezji, nie brak i Mickiewicza, którego, mówiąc nawiasem, zna Volkelt już nie z lichego tłómaczenia Spaziera, ale z piękne-go przekładu Lipinera.

W „Systemie estetyki” poprzestaje uczony niemiecki na wzmiance o Mickiewiczu — w rozdziale, poświęconym temu procesowi duchowemu, który jest, jego zdaniem, „pierwszą normą estetyczną w znaczeniu psychologicznym”, mianowicie zharmonizowaniu się, a raczej zlanie się w jedną nierozłączną całość wrażeń i pojęć z uczuciem. Norma ta obowiązuje, zdaniem Volkelta, i poezję; nie stoją na jej wysokości, na ogół biorąc, ani Nibelungi, ani Camoens, ani np. Owidysz: „przeciwnie — mówi Volkelt — Beowulf, Edda, a również Bajron i Mickiewicz tem ponad innymi górują, że wy-



PLOTKI WIEJSKIE

WACŁAW BROZIK

rażnie (choć może nieświadomie) dążyli do obudzania, za pomocą słów, w duszy czytelnika nie tylko pojęć, ale i możliwie silnych uczuć”.

W „Estetyce tragizmu” trzykrotnie posługuje się Volkelt poezją Mickiewicza, bądź to jako materiałem do wywodów estetycznych, bądź też jako ilustracją i stwierdzeniem różnorodnych kategorii tragizmu.

W rozdziale o psychologii tragizmu mówi autor, pomiędzy innymi, o stosunku widza do postaci tragicznej: widz może jej głęboko współczuć i zarazem drzeć o jej przyszłość, czyli, innymi słowy, może podzielać i przeżywać nie tylko obecne jej cierpienia, ale i te, które ją dopiero czekają; takie uczucia budzą w nas, pomiędzy innymi, „Koryolan” Szekspira, „Medea” Grillparzera, „Judyta” Hebla; do tej samej kategorii utworów dramatycznych zalicza Volkelt „Dziady” (część trzecią), tylko, że tutaj—jak mówi—budzą się w sercu te obydwa uczucia, sztuką Mickiewicza do najwyższej podniesionej potęgi, nie względem jednostki, ale względem całego narodu; „wiszące nad Polakami męki (*die satanischen Misshandlungen*) odmalował Mickiewicz z uczuciem palącej zemsty, z potęgą nienawiści i z nie mającym sobie równego świętym gniewem”.

W innym rozdziale rozróżnia Volkelt „tragiczność indywidualną” od „tragiczności typowo-ludzkiej”; obydwie uzewnętrzniają się często w zgrzytach i rozdzwiękach. Rozdzwięki typowo-ludzkie, mówi Volkelt, znajdziemy np. w Hamlecie, w Heloizie Russa, w Werterze Goethego, w Haroldzie Bajrona; tymczasem Holofernes i Herod Hebla nie wykraczają poza obręb tragiczności indywidualnej. Nie wykracza z niego, zdaniem Volkelta, i Gustaw Mickiewicz, miotany burzą gwałtownych, a sprzecznych uczuć i nastrojów, marzeń i macjzeń. „Przeciwnie—czytamy dalej—Konrad,

w tym samym wszechświatowym utworze (*Weltdichtung*) jest wybitnym przedstawicielem tragiczności typowo-ludzkiej. Wątpię, żeby uczucia względem Boga, świata i własnej jaźni wypowiedziano kiedykolwiek z większym ogniem, z większą potęgą tytaniczną” (*mit inbrünstigerer Titatenkraft*).

Rozstrząsając wreszcie zagadnienie psychologiczno-estetyczne: kiedy i w jakich warunkach tragiczność staje się podniosłą? jako przykład podniosłej tragiczności, podaje księdzę Robaka, „tę wzruszająco-tragiczną postać w „Panu Tadeuszu” Mickiewicza, w poemacie, z którego bije potężny, wspaniały strumień radości świątecznej”. „Odrażony sztyrsko przez dumnego stolnika, którego córkę

kochał, w szale zemsty morduje go z zasadki. Usiłuje zagłuszyć wyrzuty sumienia: daremnie; wówczas postanawia pędzić życie w ubóstwie i poniżeniu, w niebezpieczeństwach i trudach; i w służbie niebezpiecznym obowiązkom, których się podjął, umiera”. I przez tę właśnie—mówi Volkelt—dobrowolną pokutę człowieka, opętanego myślą odrodzenia moralnego i zadosyćuczynienia, sprawia Robak wrażenie podniosłe.”

Co Volkelt myśli o „Panu Tadeuszu” wogóle, to wypowiedział przelotnie w swych głębokich i pięknych „Zagadnieniach estetycznych”. Oto jego słowa: „Kiedy się rozstajemy z Iliadą Homera albo z cudownie wspaniałą (*wunderbar herrlich*), wielokrotnie przypominającą Homera epopeją Mickiewicza Pan Tadeusz, z Waverleyem Scotta, albo z Adamem Bede Elliota,—wówczas mamy uczucie, że, mimo wszystkich ciemności i okropności, o zasadniczym tonie życia stanowią jednak siły dobre, zbawienne, słoneczne”.

I jeszcze: „Kiedy czytamy Pana Tadeusza, czujemy, że przez serce nasze płynie jakiś szeroki i głęboki strumień radości życia, że przenika je jakiś naprawdę symfoniczny optymizm!”...

Oto garstka wrażeń i sądów o poezjach Mickiewicza uczonego estetyka, który do ich wydania jest z pewnością najbardziej powołany ze wszystkich krytyków cudzoziemskich, którzy dotychczas głos o Mickiewiczu zabierali. Kto więc nie wierzył własnemu wrażeniu i sądowi, ten może bez „obawy i niedowierzania” nazywać Mickiewicza poetą wszechświatowym, a o „Panu Tadeuszu” myśleć i wierzyć, że, „choć Homerem nie jest, ale się do Homera zbliża”.

„W uwielbieniu ludzi i rzeczy, którym się należy uwielbienie, nie jesteśmy sami”.





NOWOCZESNE JERYCHO.

JADWIGA MARCINOWSKA:

VOX CLAMANTIS.

II. PUSTYNIA.

„Człowiek niektóry zstępował z Jeruzalem do Jerycha”...

Tak się zaczyna w Ewangelii św. Łukasza przypowieść o dobrym Samarytaninie.

Istotnie z Jeruzalem „zstępuje się” do Jerycha. Wyminawszy Betanię, droga idzie niemal bez przerwy w dół, oczywiście nie w prostej linii; skręty są bardzo częste i znaczne.

Ale przede wszystkim cecha owej drogi to wielki smutek.

Pustka. Wyniosłości, wpośród których biegnie gościniec, są tak jałowe, że, zda się, zniweczono tutaj i starto bodaj ostatni ślad życia.

W pogodny dzień błękit nieba ogarnia jednostajną żółtawość wzgórz. W świetlisty dzień, w złotym blasku nieukożona posępność objawia się na pustyni.

Jest w pewnym punkcie, mniej więcej u połowy gościńca, gospoda.

Tradycja do tego miejsca odnosi miłosierny postępek Samarytanina.

Linie obnażonych pagórków zarysowują się twardo; rozpadliny i rozsypiska przecinają wzniesienia w sposób nagły—i smutny. Prócz wymienionej gospody nie dostrzeżesz tu siedzib żadnych; bezludzie.

Łatwo uprzytomnić sobie, że oto tutaj wpadł nieszczęśliwy podróżny pomiędzy zbójców, którzy go też, złupiwszy i rany mu zadawszy, „odeszli na połę umarłego”.

Po kilku godzinach jazdy pochyłość staje się zboczem góry; strome, ale już ostateczne zstąpienie w dół.

Bezpośrednie otoczenie Jerycha leży wśród żółtych piasków, jako smuga wykwitająca zielona.

Gdy się już jest w tej dolinie, okolne barwy nabierają łagodnie błękitnych cieni. Czy od pasma przymglonych, dalekich poza Jordanem gór?

Jerycho znajduje się o 250 metrów niżej poziomu morza.

Na horyzoncie z dwu stron łańcuchy gór-

skie; bliżej i na zachód wyniosłości, oddzielające od środkowej Judei; na wschód Zajordaniańskie pasmo, wpośród którego upamiętniony śmiercią Mojżesza szczyt: Nebo.

Pomimo tych ograniczeń i wbrew głębokiemu położeniu doliny, panuje tu przestrzenność. Góry błękitnieją w lekkiej siności, a nie tylko owe dalekie, ale i bliższe, te od zachodu. Z łagodnego przelewu barw wytwarza się w atmosferze jakieś rozmarzenie; ogólne kształtów linie wydłużają się, jakby w nieskończoność iść miały.

Roślinność jest bogata. Sucho szeleści wysoka palma, a okrężny cień rozciągają olbrzymie sykomory. Smugami wpośród piasków, gdziekolwiek przedostaje się woda, jeden za drugim sad: pomarańczowe drzewa o ciemnej zieleni i wielkolistne, postrzępione banany.

W połowie kwietnia na krzakach obfitość blado - czerwonych, rozwiniętych i pełnych, przedziwnie pachnących róż. W połowie kwietnia, tutaj na skraju pustyni, szept dorodnego jęczmienia.

Jest pośpiech roślinności, gdziekolwiek przesiąkała woda.

Lecz właśnie tej wody mało.

Nowożytnie Jerycho zgoła nie warte uwagi, chyba jako „nędza dnia dzisiejszego”. Kilkanaście lepierek bez okien, albo szałas z trzech ścian, od przodu roztworzone; dachy są z cierniowych gałązek, a podpierają dyle koślawe.

Przy drogach wszędy owego ciernia mnóstwo; wikłają się krzewy w gęstwinę. Jeszcze zielone, ale rychło sponępnieją, zsychnięte.

Wieczorem stada, wracające do domu, wzbijają obłoki kurzu. Słychać beczenie owiec i kóz.

W zapadającym pomroku rozbłysło przed szaląsem ognisko jedno i drugie, trzecie... Unosi się dym.

Dokoła ognisk postacie przysiadły na ziemi; zebrały się rodziny, kobiety pieką chleb. Na półkulistym, rozgrzanym kamieniu rozciągnięta cieniuchna warstewka ciasta; gdy się cokolwiek opieczce, kobieta z ogromną wprawą przekłada na drugą stronę.

Wieczór przelał się w noc. Płomienie migocą czerwono. Zanim pogasną... Noc bardzo ciepła, jest parno, i tylko od czasu do

czasu wietrzyk sucho szeleści w pośrodku sztywnych wachlarzy palm.

Głęboką cichość kilkakrotnie przerwał bliższe i dalsze, wrzaskliwe psów szczekanie.

Przed rankiem bywają cudne chwile: jeszcze gwiazdy nie znikły z wysokiego sklepienia, ale już czuć w powietrzu niewysłowiony, a twórczy oddech dnia. Zwiastowana jest uroczystość, w której ta połowa globu ziemskiego obraca się twarzą ku słońcu. Codzienne święto, a przecie niewyczerpanie nowe...

W niedostrzegalnym pochodzie odwiecznie tworzących sił ponocna szarość stropu przerznięta się smugami odbić różowych i wnet nalewa się słodyczą najprzedziwniejszych odcieni ametystu. Zgotowany gościniec, po którym przyjdzie—światło.

Dzisiejsi mieszkańcy jerychońscy przeważnie Arabowie, jednakże napotyka się i Murzynów. Wszyscy razem nieliczni, ze trzysta, trzysta pięćdziesiąt głów. Wśród okolicy kończą Beduini.

„Kultura” europejska wzniosła tu trzy hotele... Okrom tego znajduje się klasztor grecki i rosyjski dom dla pielgrzymów.

Z szerokich krąganków na piętrze tego domu widok rozległy, przesłodka w godzinach popołudniowych. Oczy toną w nieporównanie łagodnym przelewie barw; linie ułożyły się do spokojnego poziomu; na widnokregu majaczeniem błękitnem są góry.

Bliżej, tuż za poręczą galeryi, masz ogród; przeciągając ramię, zdumionymi palcami dotykaj potężnych konarów sykomory; spoglądaj, jak się kołysze palma...

W ogrodzie, raczej na jego krańcach, bardzo skromna i dosyć brzydka kapliczka. Na budowę cerkwi zbierają się zasoby i materiały, do którego należą odnalezione tutaj kolumny, podstawy kolumn, wielkie płyty i czworoboki kamienne, szczątki mozaikowej posadzki—słowem, wydobyty ostatek jakiegoś kościoła, który prawdopodobnie był przez krzyżowców wzniesiony.

W gromadzeniu budulcu, wogóle w przygotowaniach, przeszkadzają niechętni współwyznawcy, mnisi greccy. Użala się na nich dozorca domu, „batuszka”, starowina z rzadką bródką i wystającym poniżej wysokiego kołpaka cieniutkim warkoczykiem, który w kółko okręcon i przytwierdzony szpilkami.

Do Palestyny przybywa rok rocznie jakieś sześć albo siedm tysięcy pielgrzymów, włościan rosyjskich. Dla wszystkich, po odwiedzeniu Jerozolimy, najważniejszą rzeczą jest widzieć Jordan i skąpać się w Jordanie. Stąd gromadne wędrówki do Jerycha, gdzie odpoczynek, nocleg, a także nabożeństwo. Owóż w tym względzie ostatnim, dopokąd niema cerkwi rosyjskiej, korzysta grecka...

Pielgrzymi przeważnie wędrują pieszo: idą w butach, czasami w łapciach; kij w rękę, spory toból przez plecy; głowy kobiet owinięte szczelnie chustami. Wszyscy niejednokrotnie zdają się usychać od skwaru, pomimo to pilnie kroczą.

W jerychońskiej gospodzie czeka ich orzeźwienie.

„Matuszka” dozorczyńni, zakonnica, nosząca tu świecką odzież, wskazuje każdemu miejsce, a potem rozsiał się mogą dookoła wielkich stołów w ogrodzie, zaś w pobliżu palm ustawiony jest pełen waru, niepospolitej objętości—samowar.

Przed wieczorem, kiedy jarząca świetlistość dnia opada, dobrze wyniść na drogę, wiodącą ku zachodowi.

Po obu stronach gęstwiną splątanych

krzów cierniowych: na prawo za takim kolczastym wałem ogrody. Goście zwrócił się lekko, przybierając północno-zachodni kierunek.

Idziemy do źródła Elizeusza.

Podobno ongiś prorok uczynił tu wodę z niezdatnej zdrową. Strumień ścieka do niewielkiego stawku, skąd kanaliki odprowadzają do pól i sadów szacowne zasilenie.

Nieco opodal na lewo, u podnóża najbliższych gór, ukazały się wśród piasków rozkopy. Wyłaniają się podwaliny murów bardzo szerokie, a nawet gdzieś ściany, potężny, ścisły zrąb. W paru miejscach wykute w szarym kamieniu schody. Podobno tu przed wiekami wznosiło się starożytne Jerycho...

Jeżeliśmy za dnia przyszli, nie bojąc się złotych żarów, obróćmy się jeszcze na lewo. Ścieżka pięć się zaczyna. Wstępując, miejmy utkwione przed siebie oczy. Tam z daleka, w tej skale, wyżej i niżej porozmieszczane otwory, czeluście czarne. Wznoszą się ponad ścianą niemal prostopadłą i gładką; z naszego punktu spojrzawszy, pomyśleć trzeba, że chyba ptak tam doleci... A przecież w średnich wiekach zamieszkiwali te gniazda pustelnicy.

Góra nosi nazwanie: „Dżebel Karantal”, a tak jest, bowiem tradycja upatruje tutaj miejscowość, gdzie stało się według Pisma, że „Jezus, pełen Ducha świętego, wrócił się od Jordanu i zaprowadzony jest na puszcze. I był tam czterdzieści dni”...

Niedaleko od szczytu cerkiew i klasztor grecki, przez którego obręb przejść trzeba.

Zakonnik otwiera niewielką bramkę w murze. Stamtąd mozolną ścieżką wychodzi się na wierzchołek.

„I wwiódł Go dyabeł na górę wysoką i ukazał Mu wszystkie królestwa wszęgo świata w okamgnieniu”.

Słońce zalało przestrzeń, rozedrganą powodzią.

Nie oglądamy, co prawda, królestw całego świata, ale z tej wyniosłości objawia się przed wzrokiem jednakże—obszar. Płowy i wyłoczone, a smutny. Jest pewna tragiczność rzeczy, które są w blaskach smutne...

Nieporównanie przejrzyste powietrze uwydatnia żółtawość piaszczanego rozłogu.

Jerychońskie pola i sady stopiły się znów do znaczenia paru strzępionych, zieleniących smug... Prześwietlony błękit kopuły rozdzion jest—nad pustynią.

Obróćmy twarz na wschód.

Tam—daleko zarysowują się zaroślami niewyraźne brzegi Jordanu. Jeszcze dalej jednostajna płowość pustyni nasycić się poczęła majaczeniem siności; rozmarzający czar spłynął ku niej od stoków Moabskich gór.

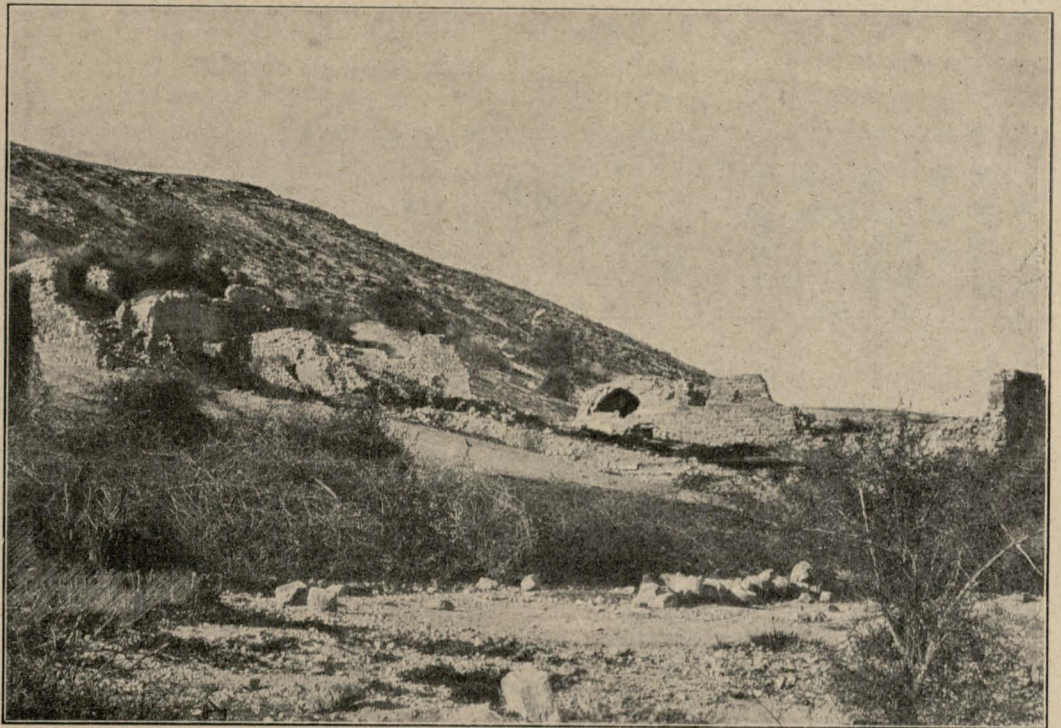
Aliści nie to jest najbardziej, a najsmutniej wspaniałe.

Nieco więcej na prawo, zatem ku południowi, wśród rozpostarcia żółtawych piasków legła spokojnie tafla matowego błękitu: „martwe” morze.

Z wyrazistością przedziwną odcinają się kształty brzegów. W uciszonym powietrzu ten cały obszar wydaje się nieruchomy, a wszakże wyczuwamy oczyma ciężkość i pełność wód.

Jest utajona gotowość do wzdęcia się i beznadziejnych wysiłków.

Owo najniższe poziomem a samotne, zaiste, iż „zapomniane” morze nie rozszaleje się nigdy wszechstronnym przelewem—oddechem po przestrzeni. Nie ulży sobie nigdy.



DAWNE JERYCHO.

Wolno mu tylko głucho uderzać do okólnych krawędzi, zamkniętych przed wiekami. Znak odrębności ponad niem, a dusza głębi, jako zawždy w jeziorach być musi,

sieroca i pustelnicza. Jeno, że przytem jest obciążona słońścią, jakoby nadmiarem wyczystych łez i goryczą.

(DN)

IGNACY BALIŃSKI: Z nocnych gwarów

DAJ MI ZASNAĆ!

— Daj mi zasnąć, matko, zasnąć choć na jedną daj mi chwilę!
Czarne snu skrzydlika gwałtem, gwałtem z powiek zdjąć się silę,
Szron wystąpił mi na czoło, srebrny szron, czuwania znój...
Daj mi zasnąć, matko, zasnąć!

— Nie, nie można, synu mój!

— Daj mi zasnąć, matko, zasnąć daj mi choć na mgnienie jedno!
Może świt już niedaleki, świt! bo, zda się, gwiazdy bledną.
Gorszą męką trwać na mrozie, trwać tak, niż najsroższy bój!...
Jam znużony, daj mi zasnąć!

— Nie, nie można, synu mój!

— Matko, wiem, nie dla mnie uczy w zamkach, co tam świecą krwawo,
Kędy poją się zwycięzcy ciepłem, światłem, winem, sławą,
Gdzie miecz błyska, lśnią puhary, laur i pycha czołom strój...
Więc choć zasnąć daj mi, matko!

— Nie, nie można, synu mój!

— Ja wiem, matko, wiem, nie dla mnie ten słoneczny krąg wszechświata,
Gdzie fantazyi sokół wolny, szczęśny sokół w górę wzlata,
Gdzie w rozmyślań upojeniu duch spokoju chłonie zdrój...
Więc choć zasnąć daj mi, matko!

— Nie, nie można, synu mój!

— Ja wiem, matko, tyś zakłęta:—przez noc całą, przez zawieję
Żebym tu na śniegu przetrwał, tu na śniegu, nim zadnieje.
Wiem, nie wolno mi w rozpacz z żywiołami runąć bój...
Lecz znużony-m! daj mi zasnąć...

— Nie, nie można, synu mój!

— Nie, nie można zasnąć, synu! W kleszczach mrozu, wśród zawiei
Biada, komu senność ciała i sen ducha oczy sklei!
Pod miękkimi ich skrzydłami zdrada czai się i zgon...
Więc ci nie dam zasnąć, synu! Jeszcze milczy ranny dzwon.

TANIEC
(WIEŚ CZESKA)



OTHMAR
RÓZICZKA

KOSA.

Napisał S. R.

Tymczasem matka Landowskiego, zawiadomiona przez ową poczciwą mieszkankę Siedlec, nie zwlekając, pojechała do Krakowa, a opowiedziawszy całe zdarzenie p. Feintuchowi, zdecydowała go do wystąpienia za pośrednictwem władz austriackich z poszukiwaniem swego wrzekomego syna, który miał być aresztowany w Siedlcach. Reklamacya o wydanie Austrii młodego Feintucha przyszła też tu niebawem—o pośpiech w tym względzie postarała się już naturalnie matka, i to znowu szczęśliwie zaważyło na szali losów Landowskiego: Maniukin bowiem, jakkolwiek prawie pewny, że ma w swych rękach dowódcę paru z rządu oddziałów powstańczych, nie zdecydował się na krok stanowczy w jego sprawie, zwlekał ją czas jakiś, w rezultacie po kilku tygodniach przesłał Landowskiego wraz z papierami całego śledztwa co do jego osoby do cytadeli warszawskiej.

Tutaj dla Landowskiego rozpoczęła się innego rodzaju dramat. Badany przez komisję śledczą, stanowczo twierdził, że jest Feintuchem, w papierach jednak śledczych, z Siedlec nadesłanych, dostrzeżono natychmiast twierdzenie owego niebacznego, czy też tchórzliwego księdza, który go prawdziwie nazwał, chcąc zatem stanowczo sprawdzić osobistość więźnia, ukazywano go niepostrzeżenie dla niego samego innym więźniom, i znalazło się pomiędzy nimi aż ośmnastu, którzy bez ogródki nazwali go po imieniu. W rezultacie, przeprowadzony przed komisję, gdy mu na oczy postawiono ośmnastu znajomych, którzy wręcz oświadczyli, że jest Pawłem Landowskim, widząc, iż próżne byłyby już dalsze wykryty, z całą rezygnacją zeznał, iż jest nim rzeczywiście.

Odtąd los jego był już zdecydowany, i niczego dobrego spodziewać się dla siebie nie mógł. Z ostateczną jednak decyzją w jego sprawie jakoś się jeszcze ociągano, i pobyt w cytadeli przeciągał się całe tygodnie, choć nie wzywano go już do komisji, pozostawiając w zupełnej nieświadomości, co i kiedy spotkać go może, a w osamotnieniu długim ta niepewność była dlań największym utrapieniem.

Matka Landowskiego, zabiegliwa i energiczna kobieta, jakkolwiek się z synem widzieć nie mogła, a tem samem i porozumieć z nim tak, iżby sprawie jego lepszy obrót nadać było można, dowiedziała się jednak tyle, że synowi grozi kara śmierci, która niechybnie prędzej lub później wykonana zostanie. Zdecydowana na wszystko, postanowiła skorzysta z pobytu podówczas cesarza Aleksandra II w Kissingen, gdzie wspólnie ze swą małżonką, a w towarzystwie cesarstwa austriackich na kuracji pozostawał. Niezwłocznie więc wyjechała tam, licząc na pewne poparcie ks. Suworowa, do świąty cesarskiej należącego, do którego potrafiła znaleźć drogę i łaskawie być wysłuchaną.

Księżę, przejęty widocznie opowiadaniem zrozpaczonej matki, broniącej od śmierci syna, nie tylko że jej ułatwił możliwość podania osobiście prośby cesarzowi, ale postarał się jeszcze

przychylnie usposobić do protekcji w danej chwili cesarową austriacką Elżbietę, ta zaś ze swej strony i cesarową rosyjską. Przy pomocy zatem szlachetnego ks. Suworowa Landowska zdołała znaleźć się z gotową prośbą (po francusku zredagowaną) tak blisko na promenadzie, iż, gdy cesarz Aleksander wyszedł na przechadzkę, prowadząc pod rękę cesarową Elżbietę, a za nimi reszta dworu, podsunęła się do niego, a przyklękawszy z wyrazem rozpaczony w twarzy, zalanej łzami, błagała o przyjęcie prośby.

Cesarz w pierwszej chwili zmieszany i chciał cofnąć, nie biorąc do ręki papieru, na naleganie jednak cesarzowej Elżbiety odebrał prośbę, lecz, rzuciwszy na nią okiem, a głównie przekonawszy się, iż w niej mowa o powstańcu z Królestwa, miał się odezwać po francusku: „Ach! to są sprawy, Królestwa Polskiego dotyczące, a ja załatwienie ich

tu, zatem przy przejściu granicy, albo gdziekolwiek bądź w kraju, łatwo może zostać aresztowana, przez co tak ważny dokument mógłby być jej odebrany, a nawet zniszczony i cel całej jej starań chyby.

I na to jednak znalazł księżę stosowny ratunek; osobiście poszedł z nią do szefa żandarmerii, ks. Dołgorukowa, także z cesarzem w Kissingen bawiącego, a opowiedziawszy całe położenie, wymógł, iż ten wydał Landowskiej rodzaj listu żelaznego, z poleceniem przepuszczenia jej przez granicę i nieczynienia jej żadnych zresztą przeszkód podczas podróży w kraju.

Zaopatrzona w tak ważne dokumenty, a pocieszona na duchu, biedna matka natychmiast podążyła do kraju z powrotem. Szczęśliwie też, bez przeszkód przybyła aż do Warszawy; dopiero tu, na stacyi D. Ż. W. W., mimo przedstawienia dokumentu ks. Dołgorukowa, aresztował ją komisarz policyi, Rosengarten, i polecił natychmiast odstawić do więzienia na ulicę Pawią, t. j. oddać w ręce pułkownikowi Tuchołce, osławionemu prezesowi komisji śledczej politycznej.

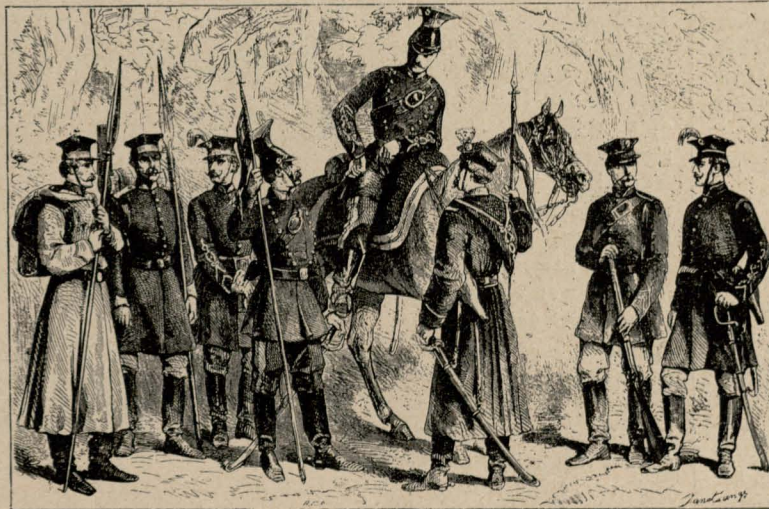
Godny ten pułkownik zaraz na wstępie brutalnie przyjął biedną kobietę, traktując odrazu, jak ostatnią ładacznicę, gdy jednak ona, nie tracąc przytomności, ostro mu się stawiała, a nie bacząc, że zostaje pod jego przemocą, śmiało oświadczyła, że czyni go odpowiedzialnym za trzymanie siłą osoby, wiozącej rozkaz cesarski, i na poparcie swego twierdzenia wydobyla z zanadru i pokazała drogocenną kopertę z pieczęcią kancelaryi cesarskiej, adresowaną do hr. Berga, pułkownik w jednej chwili zmienił ton brutalny, stając się nad wyraz słodkim i uprzejmym, przeproszał za tak fatalną pomyłkę i oświadczył całą gotowość służenia pani Landowskiej, dodając, iż karetę jego jest do jej dyspozycji, aby nią natychmiast nawet do hr. Berga pojechać mogła.

Podziękowała mu za tę łaskę, a wyszedłszy na wolność, w najętej dorożce bezwzględnie do Berga podążyła, żądając natychmiastowego widzenia się z nim, jako wysłanniczka rozkazu cesarskiego, przyczem powstrzymała się od wyjawienia przedwcześnie swego nazwiska. Pan hrabia, nie wiedząc, o co chodzi, raczył ją sam przyjąć i własnoręcznie odebrać z takim trudem zdobyty rozkaz cesarski; po otworzeniu jednak koperty, gdy spostrzegł, o co chodzi, zzieleniał ze złości, cały drżący, kładąc rozkaz na biurku, lecz nie patrząc nawet na Landowską, raczył jej tylko wyrzec lakonicznie: „Pasmotrim”, pozwolenia na widzenie się wszakże z synem stanowczo odmówił i pożegnał ją lekceważącym kiwnięciem głowy.

W niepewności i trwodze o dalszy los dziecka udała się Landowska do generała Trepowa, lecz ten nawet jej przyjąć nie chciał. Trafiła następnie do plac-komendanta, barona Korfa, który dał jej niepewne przyrzeczenie, że może mu się uda wyjednać dla niej pozwolenie na widzenie się z synem, kiedy jednak? nie wie napewno.

Oto w jaki sposób załatwiono się z Landowską, która po tylu trudach zdołała otrzymać i przywieźć do kraju ułaskawienie cesarskie dla swego dziecka...

(DN).



PARTYZANCI Z 1863 ROKU.

w zupełności powierzyłem hr. Bergowi, nie mogę się zatem do nich mieszać”, gdy jednak cesarzowa Elżbieta, a za nią i cesarzowa rosyjska wstawiły się, aby zechciał uczynić wyjątek dla biednej matki, która aż do Kissingen przybyła ratować swe dziecko, po chwili wahania oddał prośbę stojącemu tuż przy nim ks. Suworowowi i wyrzekł krótko: „Ułaskawić go”, poczem już śpiesznie oddalił się z całym otoczeniem.

Wówczas to poczciwy ks. Suworow, biorąc w swą opiekę p. Landowską, pocieszył ją, że sprawa jest już wygrana, i natychmiast wyprawił depeszę po hr. Berga, polecając w imieniu cesarskim ułaskawienie Landowskiego. Tegoż samego dnia otrzymał odpowiedź z Warszawy, że „to jest niemożliwe”.

Odpowiedź ta wielce go podrażniła, oświadczył też Landowskiej, iż tego już cesarzowi komunikować nie potrzebuje, ten bowiem, raz wyrzekłszy słowo, nigdy go nie zmienia, i że on sam, Suworow, jest w tej chwili do działania w imieniu cesarza upoważniony, a postąpi zgodnie z otrzymanym rozkazem. Zatelegrafował więc ponownie do hr. Berga, aby ostateczną decyzję co do Landowskiego wstrzymał do chwili odebrania piśmiennego rozkazu cesarskiego, który mu niebawem przesłany zostanie, i rzeczywiście rozkaz ten sam niezwłocznie wygotował, a opatrzywszy podpisem, w imieniu cesarskim oddał p. Landowskiej dla osobistego doręczenia hr. Bergowi.

Wówczas to biedna kobieta wyznała mu, że ona sama nie jest w porządku, a mianowicie, że przybyła tu bez wszelkiego paszpor-

WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

Nowości repertuaru bieżącego. — „Król Kandaules” Gide'a w Teatrze Małym. — „U progu młodości” Dreyera w Teatrze Letnim. — „Szczęście do kobiet” Engla w Teatrze Nowym. — „Mimi” Raimana w Teatrze Nowości. — „Odrodzona Ewa” H. Rozgorskiej w Teatrze Małym.

Jeżeli chodzi o bezwzględną wartość literacką i artystyczną, to z całego cyklu nowości teatralnych, wprowadzonych na sceny nasze ostatnimi dniami, najwięcej przymiotów tych posiada sztuka grecko-paryska A. Gide'a, „Król Kandaules”, wystawiona w Teatrze Małym. Jest to nawet wogóle utwór niepowszedni, godny lepszego losu, niż forsowne zagranie go przez zespół artystów, zmuszony do przerzucania się z błyskawiczną szybkością od „rodzaju” do „rodzaju”.

Gide wziął pod giętkie, subtelne pióro nowoczesnego pisarza francuskiego prastarą legendę o ostatnim władcy z rodu Heraklidów i głęboką jej filozofię paraboliczną przepoił wykwintnym sceptycyzmem ironicznym przekulturalnioną duszą współczesnej. No i szczerozłotą poezją...

Rzecz, doskonale uscenizowana, rozwija się początkowo, jakby archaiczny traktat jakiś platoński—o szczęściu; przechodzi następnie w dramat, jakby zawalowany misternie cudownością baśniową, aby rozplątać się w nastrój wysokiego wykwintu symbolicznego, nastrój, pełny melancholii przedziwnej.

Dzieło to pisarskie nad wyraz wszelki wytworne, a wysokiej „marki”. Nie może też stanowić strawy duchowej dla tak zw. szerokiej publiczności przeciętnej. Ot, zabłąkało się jakoś przypadkiem w nasze teatralne widowiska—letnie.

Przejście od „Króla Kandaulesa” do typowych letnich premier dał nam dramat trzyaktowy Maksa Dreyera, obecnego, zdaje mi się, kierownika literackiego berlińskiej „Tägliche Rundschau”,



Edward Weychert, wybitny artysta sceny krakowskiej, gość „Teatru Małego”.

Ów „Probekandidat” utrwalił rozgłos pisarza, liczącego, mniej więcej, czterdzieści kilka lat życia, a obdarzonego istotnym talentem.

Jakoż i nam nie omieszkał zaprezentować się Dreyer wcale dodatnio.

Wystawiony w Teatrze Letnim jego dramat („Na progu młodości”) mocniejszy jest w założeniu, niż w rozwinięciu, tu i owdzie ostrugany z gruba robotą dość ciężką w pogoni za wyrazistą dokładnością, niepotrzebnie wyposażony w akt czwarty, ale nie skąpi wrażeń, oraz podniety do rozmyślań.

— Co to jest życie? — pyta młody, niedoświadczony, naiwno-szlachetny i dziewiczo-uczciwy Fred, student szkoły wojskowej, dziadka swego, dymisjonowanego pułkownika, pogodnego zrezygnowaniem ze wszelkich od życia wymagań.

I częściową odpowiedź daje nam Dreyer sam. Pokazuje nam tylko cząstkę życia, ale ta pars pro toto, dalibóg, wystarcza.

Życie—to bezlitosna, a może bezcelowa—katorga.

Najlepsi ludzie, zda się, stworzeni dla używania szczęścia, za dotknięciem jakiegoś jakby fatum, nagle stają się głęboko nieszczęśliwymi, co do nogi, i idą w istny tan św. Wita rozpaczy, miotają się, przekleństw, szału...

Czasem znowuż zdarza się, że ofiarą niezasłużonej, tragicznej katastrofy pada zaledwie rozwijające się życie. Naprzykład: życie młodego Freda v. Schlethow.

Zakochał się w bawiącej w domu rodziców zalotnej—po kobiecemu—Eryce v. Hellenhofen. No, to jeszcze nic... Trzeba jednak, że rodzony ojciec Freda, ubóstwiany przez syna, też zakochał się w Eryce, a Eryka zakochała się w wytwornym, niepowszednim, lekkomyślnym, o duszy artystycznej Wernerze von Schlethow. I Fred dowiaduje się rychło: co łączy jego ojca z Eryką. I zabija się...

I Dreyer całkiem niepotrzebnie poświęca akt jeszcze jeden pokazaniu nam rozpaczy, a może nawet na zawsze połamanych żyć: samego Wenera, jego żony, starego Schlethowa, Eryki.

My o tem wiemy, my to przeczuwamy... Trzeba było zostawić nasze przeczucia i domyslenia się w spokoju. Sameby nas w dostatecznej mierze wzruszyły.

Lecz sztuka pomimo to—dobra. Wyeksponowana jasno i umiejętnie, a w akcie trzecim akcentowana głęboko, wprawną ręką.

Dopomógł dzielnie autorowi p. Brydziński (Fred), grający wręcz świetnie, z wielką miarą artystyczną i znakomitą szczerością. Również nie szczędźmy pochwał p. Knake-Zawadzkiemu, wysoce umiejętnie harmonizującemu silne wybuchy żywiołowego uczucia z niełatwą ogólną psychologią postaci Wenera v. Schlethow. Natomiast p. Dulębianka całkiem zwichnęła duchową istotę Eryki. Wszak Eryka wszystko zło wyrządza prawie bezwiednie, z naiwną zalotnością, wrodzoną kobiecie, a potem sama kochać zaczyna Wenera również jak on, żywiołowo, a p. Dulębianka czyni z Eryki... niedoszlą kokotę. Nie wiem tylko, czy z braku zastanowienia, czy z braku talentu. P. Dulębianka „na progu” swej kariery na scenie dramatycznej gotowa zawikłać się w szablon ordynarności i wulgarności, który przecie nie da się spożytkować—wszędzie w każdej roli. Trzeba cofnąć się z tej drogi—w porę.

Lecz idźmy dalej.

Sztukę już całkiem sezonową, letnią, nazwę najświeższy nabytek Teatru Nowego, „Szczęście do kobiet”, farsę niemiecką Engla, udającą do złudzenia farsy szablonowe francuskie. W dodatku—pieprzona suto, pełną garścią, bez żadnej ceremonii.

Wiem jednak, że na nic się nie zda przypomnienie: nie pieprz, Pietrze, pieprzem wieprza, bo... i t. d. Farsę grają w Nowym z takim zacięciem, w takim tempie, zbijającym z tropu wszelkie „hola!” krytyczne, tak *con brio* i *con amore*, z taką werwą i takim wirtuozostwem, że, zanim się zdążyło zdać sobie sprawę, iż nie było z czego śmiać się, już się śmiało...

J'ai ri, me voilà désarmé!—jak powiada ktoś w którejś sztuce Pirona.

Farsa w rodzaju angielskiej stoi—osobistym humorem grających artystów. Sekret powodzenia

w rękę pp. Fertnera, Sikorskiego, Baumanowej; Bogorskiej, Knapczyńskiego, Trapszy. Powtóre, sama publiczność nasza tak pragnie—śmiać się! Tak ona wdzięczna za to, że dano jej pośmiać się! I oto wtóry sekret powodzenia „Szczęścia do kobiet” i całego legionu sztuk z tegoż zakresu i w tymże guście.

Nieco rzecz się ma inaczej z „Mimi”, quasi operetką Raimana, której tryumfy rozpoczęły się świeżo w Nowościach. Tam to znowuż trzyma batutę: *mise-en-scène*, okraszona przenajrozmaitszymi dodatkami, pomysłami, wstawkami etc. aż—do walki atletów włącznie. Libretto puste, muzyka pusta—ale szyk! Szykowne dekoracje, szykowne kostiumy, tańce, gwizdania solo i nawet chóralne, puszczanie z „cudownego lusterka” zajazdków ze



„Mimi” wodewil w trzech aktach.

sceny po sali... Słowem, bez mała awantury arabskie.

No i jakże tu nie przyjść, popatrzeć i posłuchać?

Zwłaszcza, jeśli wieczory coraz chłodniejsze? Zwłaszcza, że kinematografy już odrobinę spowszedniały...

Co zaś wreszcie do debiutu scenicznego p. Heleny Rozgorskiej („Odrodzona Ewa”), wystawiona w Teatrze Małym, to obrazek ten „z życia średnio inteligentnych Żydów”, aczkolwiek pozbawiony przedewszystkiem pogłębionej charakterystyki środowiska (oprócz postaci swata), aczkolwiek dość naiwny w pomysłach, świadczy jednak o wrodzonym uzdolnieniu autorki, pragnącej pisać dla sceny (dobrze zbudowany akt pierwszy). Bardziej tedy ów pierwszy występ przyda się samej autorce, niż oglądającej go publiczności. P. Rozgorska spostrzegła niezawodnie i odczuła, co w jej sztuce działa na publiczność, a co nie działa. Jeżeli nauka nie pójdzie na marne, mamy prawo oczekiwać utworu pisarskiego dojrzalszego. Z wystawieniem „Odrodzonej Ewy” pośpieszono się, ale, gdyby nie takie pośpiechy, nie mielibyśmy hartowania się talentów w ogniu prób realnych. Miejmy nadzieję, że talent p. Rozgorskiej okrzepnie i zmęźnieje w zapasach z „prawdziwą” sceną.

Teatr Mały wystawił „Odrodzoną Ewę” ze zwykłą starannością i okraślił ją piękną grą p. Noskowskiego. Uczynił przeto, co tylko mógł, dla godnej prezentacji rodzimej debutantki.

CZ. J.



NA POCZTÓWKACH.

WRAŻEŃ NIECO.

IV.

Oderberg-Bogumin.

— Wiedeń! Berlin!... Phee... to—przedmieścia Warszawy!

Tak zaopiniował spotkany po drodze znajomy mój, krwi przerażystej Warszawiak, i jał dowodzić mi, że jechać do Wiednia nie warto.

Uczyliem tedy popas tu w Oderbergu-Boguminie, aby—namyślić się.

Popas, co prawda, i namyślanie się tyle mi potrzebne, co tramwaje elektryczne Krakowowi, ale—tak miło siedzieć tu przy czarnej kawie na peronie dworca kolejowego, przyglądać się gwałtownemu ruchowi pociągów i słuchać wykrzykiwań małoletnich Morawianów i Morawianek:

— *Frisch' Wasser!* Świża woda!

Okrutnie spolaczona ta *Nordbahn* wiedeńska. Cała służba kolejowa albo rozumie, albo mówi po polsku—aż do samego Wiednia. Gryzie to w samo serce wszech Niemców tutejszych, i nie dziwię się wcale, że jeden z nich palnął przez całą długość polskiego „Przewodnika po Galicyi”, leżącego po wagonach w ekspresie Lwów-Wiedeń, dosadną—ołówkiem—inwektywę: „*Alle Polaken soll der Teufel holen, denn sie sind Schweine*”.

Użył sobie. No i zadzierzgnął jeszcze serdeczniejsze więzy międzynarodowości w monarchii Habsburgów.

— *Frisch' Wasser! Bier gefällig!*

— Świża woda!

I jak to szczęśliwie, że nie rekomendują nigdzie—wina austriackiego! Austriackie wino bez rasy, smaku—i przyszłości. Nawet *Vöslauer* popularnego, jak Strauss, Schlumbergera? Nawet.

Zwłaszcza radziłbym usilnie unikać win tyrolskich, ile że jedno z nich stąd zowie się *Lacrimae Sanctae Magdalenae* („St. Magdalenas Thraenen”), ponieważ łyżki ongi wycisnęło nawet tak cierpliwiej pokutnicy, obywej z wielorakimi torturami.

Kto mieć użytek jednak chce
Z haniebnej tej mikstury,
Butelkę jedną—albo dwie—
Niech bierze z sobą w góry...

A gdy mu ostryg dadzą gdzie,
(*Wie wird man ihn anglotzen!*)
Niech, jak cytryną, skrapia je...
Tyrolskim winem z Bozen.

Jest pewien wyraz niemiecki, również do rymu z „Bozen”, oraz przedziwnie harmonizujący z tamtejszym winem miejscowym, lecz go nie używam ze względu na przyzwoitość publiczną, obowiązującą przecie dla pocztówek.

Dziwi się pani—prawda?—że pocztówka ta najabsolutniej...nie ilustrowana. Ja też otrzymałem pocztówkę *nie*-ilustrowaną, ale—raz jeden tylko w życiu! Mógłbym datę wymienić, tak utkwiał mi w pamięci ten fenomen.

V.

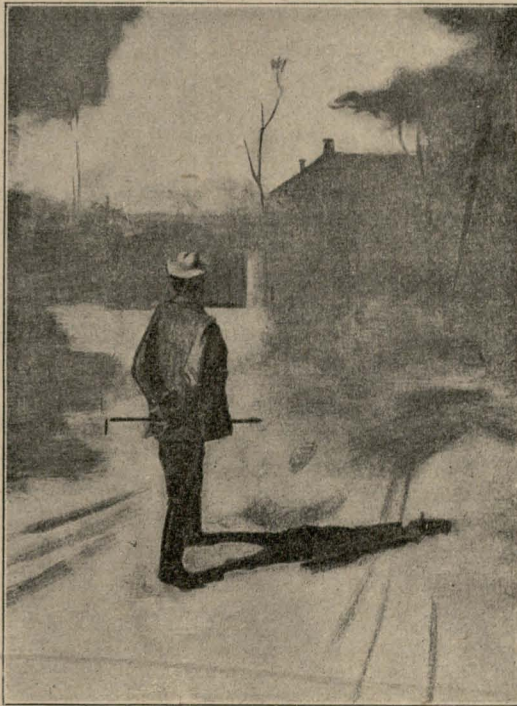
Oderberg-Bogumin.

Jeszcze tu jestem—na rozstajnych drogach.

Czekam na udogodnienie komunikacji kolejowej z Pesztem. Dotąd tylko—tania jest, ale czyliż to wystarcza!

Portyer niewesołego zajazdu tutejszego, zwanego „Hotel Lustig”, zapewnił mi, że za trzy dni dawać zaczął w Peszcie „Krysię Leśniczkę”, noszącą tam dźwięczną nazwę *Az Erdeszleany*.

Chciałbym zobaczyć oryginalnych Węgrów w tej węgierskiej operetce—i jest nadzieja, że uda mi się dojechać do Pesztu—za trzy dni.



Tymczasem przechadzam się po jedynej oderberskiej ulicy, pozdrawiając panią w duszy po tysiąc razy. Mnóstwo tu fabrycznego ludu. Pocztówki wykwinniejszej po sklepikach ani na lekarstwo. Przez rok cały cieszą się stałym pokupem ordynarne... *prima-aprilis'y*. Mam wrażenie, że jestem tu na łonie całkiem dziewiczej natury.

(DCN)

CZESŁAW JANKOWSKI.

Z MINIONYCH DNI.

Mija tydzień — i już z powierzchni życia zniknęły niezapomniane dni polsko-czeskie. Przypada nam w udziale ilustrować obrazem i słowem — tylko przeszłość. Ale przeszłość najbliższą i wszystkich pamięci przytomną.

Najlepszą charakterystyką dni, bezpośrednio upłynionych, są słowa, wyrzeczony w jednym z niezliczonych przemówień. A wypowiada je uczestnik wyieczki czeskiej:

„Od granicy Galicyi z rąk do rąk podają nas sobie tłumy, by w pełnych zapału owacych wyrażać radość swoją z powodu naszego przybycia”.

Tak było istotnie. Brały w ramiona drogich gości liczne delegacje. Witaty ich ukwiecone, wiewające barwnymi chorągiewkami dworce i miasta, przewoziły ich umajone zielonością pociągi. A wszędzie spotykały ich tłumy, obrzucające kwiatami i wołające: „na zdar”, „niech żyją!”.

Zdawało się, że orkiestry same niejako automatycznie grały, a chóry spontanicznie intonowały potężny hymn narodowy czeski.

Kto przeżył te dni, komu danem było widzieć zapał, rosnący, jak lawina, od Częstochowy do Gorzkowic, przez Rozprzę, Częstochowę i Kraków na dworzec wiedeński, przez Wilanów i Warszawę aż do punktu kulminacyjnego, do przyjęcia na przystani towarzystwa wioślarskiego, do mów Kobyłeckiego i Nakoniecznego, temu nie dziw, że Czesi byli oszołomieni, że mówili, jako o takiej podróży tryumfalnej marzyć nie mogli.

Polacy otworzyli ramiona szeroko, gościnnie, z tym zapałem i wrażliwością, które zapewne mogą być i są istotnie ich wadą narodową, ale które zarazem nadają niezwykły, jedyny w świecie urok wszystkim naszym wystąpieniom zbiorowym.

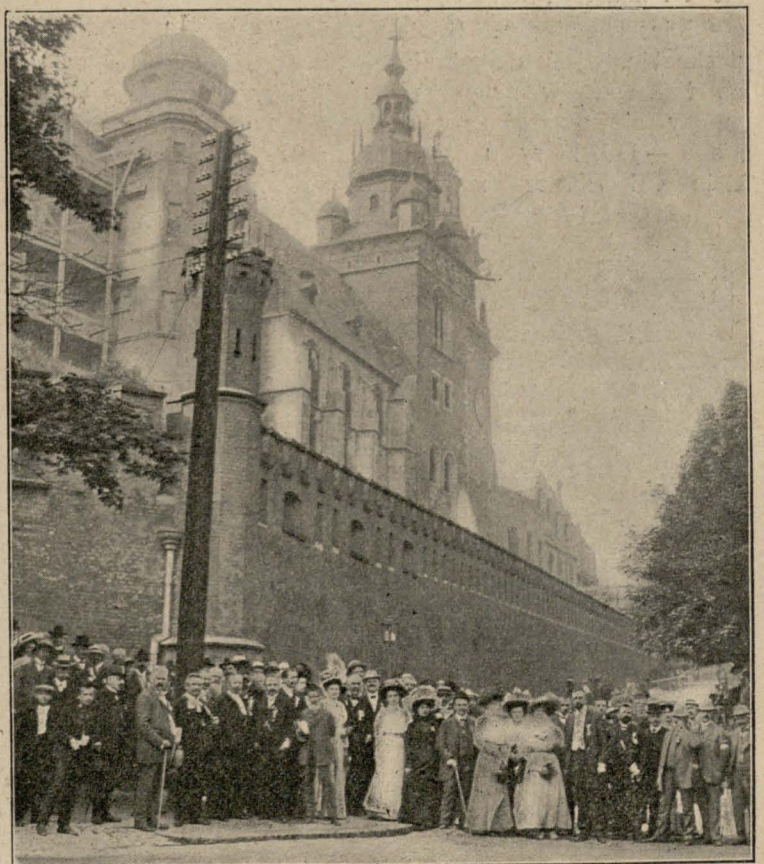
Minęły dni czesko-polskie. Po zapalnych świętach powróciliśmy do życia i trudu powszedniego. Możemy i powinniśmy określić czynniki, które były sprężynami takich rozmiarów przyjęcia, których nikt zrazu przewidzieć nie mógł.

Zaznaczmy odrazu, że obce były uroczystościom wszelkie cechy polityczne, wszystko to, co zazwyczaj różne wywołuje poglądy.

Mówiło się dużo o zawiązaniu bliższych stosunków przemysłowo-handlowych. Ale nie jest to temat i dziedzina zdolna wywołać entuzjazm żywiołowy.

Czy powstanie kilka fabryk czeskich, czy istotnie sprowadzać będziemy wyroby czeskie zamiast niemieckich, to są niewątpliwie rzeczy społecznie ważne i pożyteczne, ale wymagające koniecznie do oceny zimnego rozumu, z którym zapał ludności nie miał nic wspólnego.

Nie. To naród sam przyjmował u siebie inny naród w osobach jego przedstawicieli. I w tem poczuciu chwilowej samodzielności, chwilowego gospodarstwa u siebie, jakkolwiek tylko „przy gościach” — jak mówił Dmowski — szukać należy głównego czynnika zapału. Zapał kierował się na miłych gości, wywołany

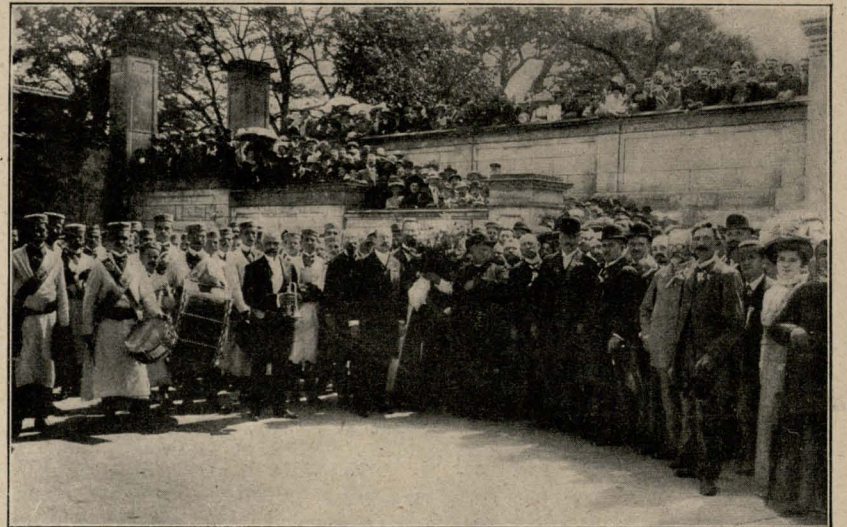


Grupa gości czeskich pod kat.drą na Wawelu.

W CZĘSTOCHOWIE.



O. Euzebiusz Rejman prowadzi gości do refektarza.



Powitanie przez orkiestrę Namysłowskiego.



Na Jasną Górę między kordonem straży.



Hr. Raczyński rozmawia z p. Hlavaczkową, żoną jednego z kierowników wycieczki.



Oglądanie wałów klasztornych.

możliwością odetchnięcia, krzyknienia z głębi serca, rozprostowania ramion. Rósł, w miarę jak pierś oddychała szerzej, w miarę jak zdało się, że dochodzą powiewy wolności z tych gór i równin, na których żył lud, przygotowujący sobie niegdyś szczęśliwą dzisiejszą teraźniejszość wyteżonym wysiłkiem znoјnej pracy, w warunkach najcięższych, a obecnie pewny swej przyszłości. Uroczystości obecne opromieniała otucha i nadzieja, a to są wróżki, co cuda tworzą.

I jeszcze jedno. Społeczeństwo nasze, niegdyś szlacheckie, dziś demokratyzuje się powoli i stale. Bez frazesów, w najgłębszej głębi duszy przyzwyczajamy się uważać za najtrwalszą ostoję przyszłości narodu — lud, który u nas dopiero wkracza na arenę dziejową i wkracza na nią także w warunkach naj-



Rejent Władysław Małkowski, prezes komitetu przyjęcia Czechów w Częstochowie.

cięższych. Dla ideałów demokratycznych, żłobiących sobie zwycięską drogę, stu kilkudziesięciu Czechów uosabiało lud karny, uświadomiony, zamożny, oświecony, o wszystkich kulturalnych potrzebach zaspokojonych, czyli tę rzeczywistość, do której my dążymy, o której dopiero w dalekiej perspektywie historycznej marzyć możemy. Tym z nas zwłaszcza, którzy już oglądać tej szczęsnej przyszłości nie będą, którym bliższa już droga pod szumy drzew powązkowskich, zdawać się mogło, że ją oglądają własnymi oczami, że widzą nimi przedstawicieli swego narodu, przyjmowanych gdzieś z tem poszanowaniem, uznaniem i zapalem, z jakimi wczoraj przyjmowaliśmy gości czeskich.

Odruchy uczuciowe są tak samo niezbędne,



Grupa pań czeskich na podwórzu klasztornej na Jasnej Górze.



W Warszawie. Straż honorowa cyklistów na dworcu wiedeńskim przed przyściem pociągu z delegacją czeską.



PRZYBYCIE GOŚCI CZESKICH DO WARSZAWY. PRZED DWORCEM WIEDŃSKIM. Fot. J. Golcz.



GOŚCIE CZESCY W WILANOWIE. Fot. J. Golcz.



Delegaci „Starej Warszawy”, pp. mec. K. J. Jasiński, mec. Al. Kraushar i współredaktor naszego pisma, Artur Oppman (Or-Ot), oraz p. Zygmunt Kiltynowicz, w pierwszym powozie na czele korowodu gości, jako przewodniczący przy objęździe miasta.



Goście czescy przed pałacem w Łazienkach. Fot. J. Raczyński.

wprost nieodzowne w życiu każdego społeczeństwa, jak zimne obrachunki rozumowe. Trzeba im dawać ujście.

To ujście znajdują inne narody w swych wystąpieniach zbiorowych, wielkich świętach kulturalnych, manifestacjach sportowych, obchodach wielkich rocznic. I znajdują je na zewnątrz, na ulicy, w parku, na placu publicznym, zawsze na powietrzu, uosabiając wolność oddechu. Nam do takich wy-

Możemy być dumni z przyjęcia Czechów. Nie dlatego, że przyjęliśmy ich z całą gościnnością, na jaką nas stać było. Ale dlatego, że daliśmy dowód karności narodowej i sprawności organizacyjnej, przymiotów, bez których żaden naród ostać się nie może, a które tak rzadko u siebie stwierdzać możemy. Karność widzimy w głosach prasy i opinii, dostrojonych do jednego tonu; piszemy te słowa w poniedziałek, bezpośrednio po przyjęciu. Z pewnością w chwili, kiedy czytane będą, rozpocznie się zbiorowy rozdźwięk niezadowolonych i rekryminacji; nie osłabia to jednak ich prawdy, że przez dni kilka pokazaliśmy się gościom, jako jednolity, zwarty i spójny naród. Spójny i jednolity, bo nad wszelkie spodziewanie, wobec pominięcia w pracach przygotowawczych, żywy udział w uroczystościach brały tłumy ludu miejskiego i wiejskiego, tam gdzie z gośćmi stykać się mogły.

Prócz akcyi pism, nie zrobiono nic zgoła, by warstwy ludowe do przyjęcia pociągnąć; samorzutnie wykazał lud raz jeszcze, że jest żywą częścią narodu, że serca jego jednakiem z nim biją tętnem, że te same uczucia tętna ich przyspieszają.

Złożyliśmy dowody karności organizacyjnej w tem, że nigdzie nie było tłoku, nieporządku, zamieszania.

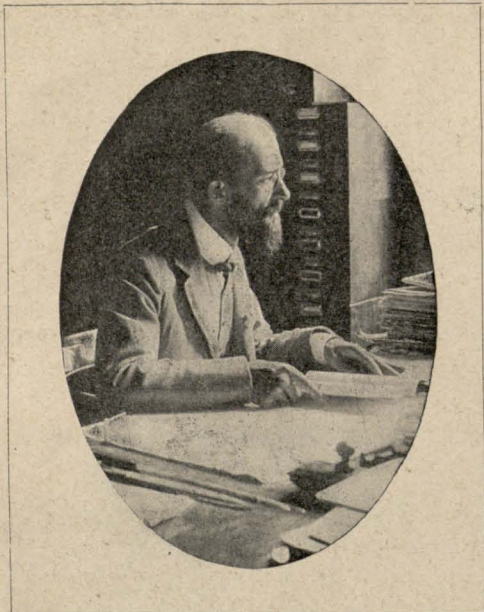
Zapewne wielka w tem zasługa kilku energicznych jednostek, które całą zewnętrzną stroną uroczystości kierowały, kilku setek sportowców, którzy chętnie na zaproszenie do pomocy pobiegli, ale także i tych dziesiątków tysięcy, które tak chętnie ko-

mendzie się poddawały i które się biernem współdziałaniem do utrzymywania porządku przyczyniły.

Minęły dni pamiętne. Streścić je trzeba. Jak na portalu Narodnego Divadla w Pradze wypisane są słowa: „naród sobie”, tak najlepszem ich streszczeniem będzie: „narody sobie”. Bo to dwa narody świadczyły sobie uczucia serdecznej przyjaźni i otuchy na przyszłość.

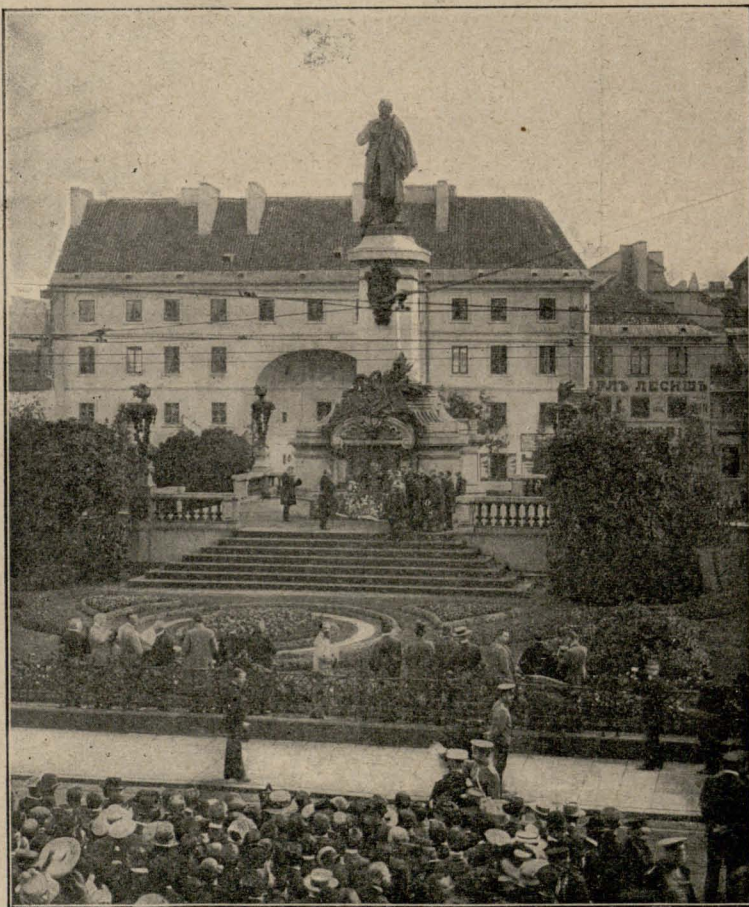
L. WŁ.

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na kwartał trzeciego roku bieżącego.



Jarosław Rozwoda, jeden z kierowników wycieczki czeskiej, znany i wypróbowany przyjaciel Polaków. Od lat kilkunastu słowem, piórem i czynem służy sprawie polskiej w Czechach, przeciwstawiając się nieraz silnym prądom opinii czeskiej, dla nas nieprzychylnym.

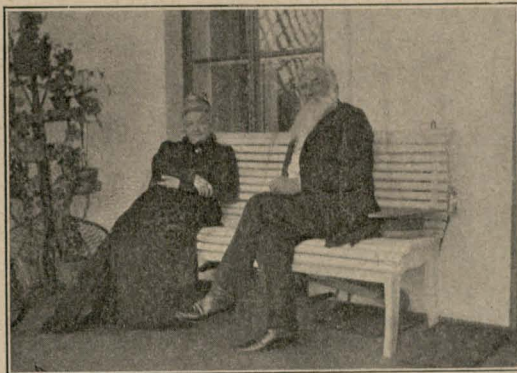
stąpienie nie może wystarczać ani cisza gabinetów restauracyjnych, które nigdzie zapewne nie widzą i nie słyszą tyle zmiennej kolei płochych miłosnych szeptów i poważnych szepotanych narad, ani zamknięcie domu prywatnego, ani nawet sala, kilkuset osobami natłoczona. Więc gromadzą się niezmierne zapasy zapachu, gardła nabrzmiwiają tysiącnymi nie wymówionymi okrzykami. Aż nadchodzi chwila, kiedy ten zapach można wyładować, kiedy wolno wykrzyczeć się z całej piersi. Buchają wtedy, tak jak buchały w końcu ubiegłego tygodnia.



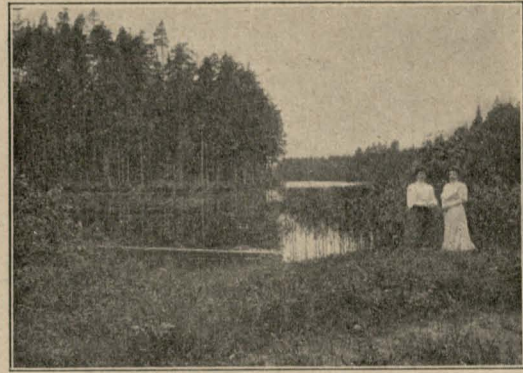
Delegacja czeska składa wieniec u stóp pomnika Mickiewicza. Fot. J. Raczyński.



Dom mieszkalny w Paulinowie.



E. Orzeszkowa i p. Bochwic.



Widok z ganku.

Letnie wczasy autorki „Nad Niemnem”.

Pani Eliza Orzeszkowa, która od końca maja bawi we Floryanowie u pp. Tadeuszostwa Bochwiców, dnia 17 lipca zawiątała do Paulinowa w celu odwiedzenia rodziców pp. Tadeuszostwa, pp. Ottonostwa Bochwiców.

Pięciomilową drogę z Floryanowa do Paulinowa przebyto na samochodzie pp. Rejtanów z Hruszówki, w ciągu godziny i 10 minut.

Towarzyszyli p. E. Orzeszkowej oboje pp. Tadeuszostwo Bochwicowie z dziećmi i p. Zofia G.



Odzjazd E. Orzeszkowej z Paulinowa.

Paulinów, położony w uroczej miejscowości, otoczony lasami, niezmiernie się podobał p. Orzeszkowej. Wistocie jest to rodzaj osady, powstałej na sposób amerykański: lat temu kilkanaście, pod kierunkiem p. Ottona Bochwica, wzniesiono tam wszystkie budynki gospodarskie i gorzelnię w ciągu niezmiernie krótkiego czasu: od 1 kwietnia do 1 listopada, i to w miejscu, gdzie był wielki las, puszcza.

Po kilkogodzinnym pobyciu towarzystwo floryanowskie wyruszyło w drogę powrotną—do Floryanowa, gdzie, jak i lat poprzednich, jest letnisko liczne i sympatyczne.

MAR S.

Aeroplany Wrighta.

We wrześniu czeka Warszawę sensacja, tym razem sensacja naukowa. Rozgłośniej sławy aeroplan Wrighta czynić będzie demonstracje na polu wyścigowym mokotowskim, jedynym terenie w mieście, wolnym od zabudowań i drzew wysokich.

Czem jest aeroplan w szeregu maszyn latających, którymi dzisiejsza nauka awiacji poszczycić się może? Już Wells, w swych powieściach fantastycznych, widział w przeczuciu poetyckim olbrzymiego ptaka, utrzymującego stosunki z ziemią z planetami. „Ptak” ten, niezależny od zawartości gazu w swym wnętrzu, wolny od uciążliwych przygotowań balonowych, posłuszny woli żeglarza, szybującego w dowolnym kierunku, a przede wszystkim biegnący z nieznaną dotąd w technice ludzkiej szybkością—to do pewnego stopnia wcielenie poetyckiej wizji, to aeroplan dzisiejszy.

Statki powietrzne, poza starodawnym balonem, przynoszą zaszczyt dzisiejszej technice. Postęp w ich budowie jest tak wielki, że zupełnie

usprawiedliwiona jest nadzieja rządów, pragnących osiąść flotyllę powietrzną, i jednostek, marzących o podróży w przestworzach z szybkością ptaków, biegnących nad ludzkimi domostwami i oceanami.

Aeroplanem—zgodnie z nazwą—jest płaszczyna, używana do wzlotów. Jedną zwie się monoplanem, i w tym zakresie znane są statki „Antoinette”; do biplanów (dwie płaskie powierzchnie) należą statki Voisina, Farmana i braci Wrightów: są również czynione próby z maszynami o trzech powierzchniach (triplany).

Jeżeli w tym wyścigu geniuszu ludzkiego, którego siedliskiem, wybranym przez losy, jest Francja, zwyciężył Amerykanin Wright, to, jak twierdzi prof. Painlevé, Amerykanin, zawdzięcza to temu, iż sam jest genialnym wynalazcą, dzielnym inżynierem, pracowitym robotnikiem i nieustraszonym żeglarzem. Zespoleniu tych zalet zawdzięcza Wright wyniki, nieznanne innym wynalazcom-żeglarzom. Próby swe Wright rozpoczął w Ameryce w sposób dziwny: zbudował płaszczynę płócienną, kładł się na niej na brzuchu, aby umiarkować ciężar, i poleciał ludziom z płaszczyną tą na barkach biedz tak długo, dopóki nie wytworzy się w tej bieganiu szybki ruch powietrza. Wówczas ludzie puszczali płaszczynę, i ta z wynalazcą unosiła się w górę. Doświadczenia te powtarzane były przez dwa lata, poczem dopiero Wright zdecydował się zastosować do statku motor benzynowy.

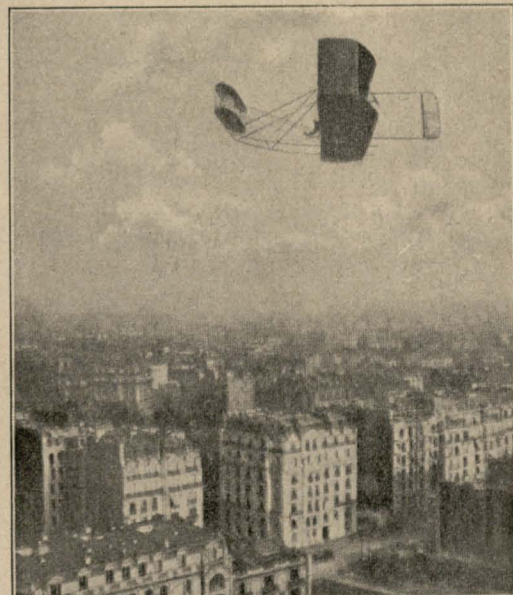
I motor jest jego wynalazkiem. Skomplikowany, mieszczący w nader lekkim i małym komplekcie dźwignię do unoszenia się kierownik, ster, połączony drutami z płaszczynami, stanowiącemi istotną maszynę, aparat do ochładzania, napełniony wodą, porusza się rękami żeglarza. Prawa czyni ruchy kierownika, jak przy motorze samochodowym, lewa zaś wykonywa pracę ciężką, trudną, wymagającą niesłychanej wprawy i bezustannych ćwiczeń. Są to ruchy po linii krzywej, zakreślające figurę podobną do ósemki, ruchy subtelne i bardzo ważne nie tylko dla nadania statkowi kierunku, ale i utrzymania go w równowadze.

Wright, przebywający obecnie w Ameryce, pozostawia w Europie dwóch uzdolnionych uczniów. Jednym z nich jest hr. Lambert, który robi wzloty w okolicach Vichy i przygotowuje się do rekordu w Reims, gdzie w końcu sierpnia odbędzie się turniej powietrzny, drugim zaś inżynier morski Eugeniusz Lefevre, który odbywa wzloty w Holandii, Danii i przybędzie z jego aparatem do Warszawy.

Z Warszawy wzloty odbywać się będą w Cesarstwie, wszędzie pod opieką towarzyszt naukowych, sportowych i klubów, które za utrzymywanie się w powietrzu przez pewną ilość czasu i za dopłynięcie do pewnej wysokości wyznaczają specjalne nagrody (*prix*). Nagrody te udzielają zagranicą też redakcje wielkich dzienników: *Times*, *Matin*, *Journal*, *New York Herald*

dają przedmioty cenne i nagrody pieniężne. Za wzloty w Holandii redakcja *Daily Telegraph*'u wyznaczyła rzeźbę, wyobrażającą pojedynek człowieka z orłem.

Wizerunek nasz przedstawia aeroplan Wrighta w stanie, w jakim wychodzi z „hangaru”, to jest specjalnego pomieszczenia, od którego



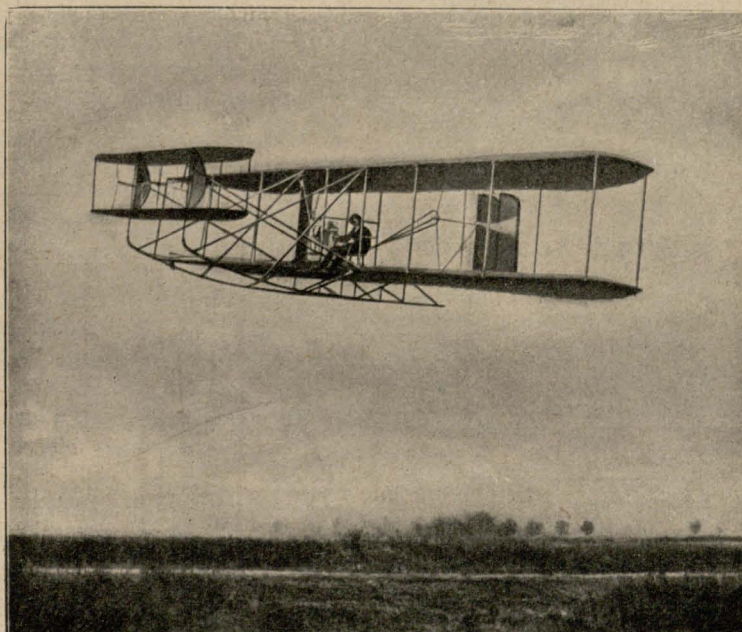
Aeroplan Wrighta nad Paryżem.

prowadzą szyny drewniane na boisku. Po szynach tych toczy się statek na kołach, niby zwierzę olbrzymie apokaliptyczne, a potem unosi się w górę.

Drugi wizerunek daje pojęcie o kształcie aeroplanu, będącego w pełnym locie.

Niedaleka jest chwila, gdy przejażdżki aeroplanami (300 kilometrów na godzinę) zbliżą nie tylko ludzkie siedliska, ale i ludzkie dusze. Rozpocznie się epoka powszechnego braterstwa narodów...

w



Aeroplan Wrighta



S. P. WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI.

Ciężką, niepowetowaną stratę poniosła literatura nasza ze śmiercią ś. p. Władysława Bogusławskiego, która nastąpiła w dniu 18 b. m. Schodzi z nim do grobu ostatni z pokolenia dawnych krytyków teatralnych, umysł jasny i niepospolity, głęboki znawca sceny i gorący jej miłośnik, a przytem charakter prawy i nieposzlakowany. Zanim w następnym numerze podamy obszerną charakterystykę zmarłego, komunikujemy naszym czytelnikom tę wieść żałobną.

Na drodze do sławy.

Tegoroczny sezon letni opery lwowskiej w Krakowie upamiętnił się przedewszystkiem niebywałym powodzeniem opery Pucciniego „Madame Butterfly”. Wystawiona już we Lwowie nadzwyczaj starannie, zawdzięczała tam opera ta powodzenie swe istotnej wewnętrznej muzycznej wartości, a także doskonałej interpretacji pani Korolewicz-Waydowej, pozostała nie zmieniona. Rolę tę odtworzyła w Krakowie młodzianka śpiewaczka, panna Jadwiga Dębicka,



Jadwiga Dębicka w roli „Madame Butterfly”.

i wstępny bojem zdobyła publiczność. Kilkanaście razy grała „Madame Butterfly” wobec zawsze wysprzedanego teatru. Krytyka wyraziła się jak najochlebniej o talencie wokalnemu panny Dębickiej i wróży mu świetną przyszłość. Dajemy obok podobiznę młodej śpiewaczki w roli tryumfalnej, a zarazem przytaczamy tu zdanie poważnego krytyka muzycznego, d-ra Zdzisława Jachimieckiego, który w lipcowym zeszycie *Przeglądu Polskiego* (str. 147) tak pisze:

„Rolę Cho-cho-sany, w najwyższym stopniu trudną do ogarnięcia i wokalnie, i dramatycznie, odtwarza w Krakowie panna Jadwiga Dębicka. Słowa najwyższego uznania, prawdziwego podziwu należą się za kreację tej młodej śpiewaczce. Nie byliśmy poprostu przygotowani na tyle doskonałości, cechującej tę partycję panny Dębickiej. Pod względem śpiewackim opanowuje p. Dębicka

rolę Cho-cho-sany w każdym kierunku skończenie. Muzycznie bardzo pewna, imponuje artystka głosem dźwięcznym i pnącym się bez śladów najmniejszego znużenia na najwyższe tony; siła jego i barwa wskazują zasoby wokalne bardzo bogate. Panna Dębicka ma w ustępach lirycznych rzewność i miękkość głosu, w dramatycznych z łatwością zdobywa się na akcenty pełne przekonywującej mocy. Naturalna prostota i wdzięk podnoszą jeszcze wartość Butterfly panny Dębickiej”.

Istotnie, artyzm muzyczny idzie tu z artyzmem dramatycznym w parze, i trudno prawie przesądzać dzisiaj, czy panna Dębicka będzie większą śpiewaczką, czy większą artystką. Lwów chyba niedługo cieszyć się będzie nową gwiazdą, przed którą bardzo dalekie horyzonty się otwierają. f. h.

Kabotyni i snobi.

„Jestem artystą, twórcą, i inne miary etyczne stosować do mnie należy, niż do przeciętnych śmiertelników”—tak pyszni się i wydyma Andrzej Oksza, literat, autor jednego dramatu, bardzo pośredniej wartości, bohater najnowszej powieści T. Jaroszyńskiego, p. t. „Wieża z kości słoniowej”.*)

„Takiemu człowiekowi wszystko wolno”—pieje w zachwycie jakaś panna Florentyna, przewracając białkami oczu, jak prowincjonalna aktorka.

Oto dwa okazy dwóch gatunków, dwóch stanów patologicznych, które Jaroszyński z właściwą sobie bezwzględnością i gorliwym umiłowaniem prawdy i tylko prawdy w „Wieży z kości słoniowej” okazał.

Kabotyni i snobi.

Nowe kostyumi, nowe dekoracje, ale typy—tak stare, jak sztuka i życie.

Bo z pomieszania tych dwu obcych sobie dziedzin ducha ludzkiego powstały.

Rzecz główna w tem, że „artyści”, w swej, jak mówi Jaroszyński, „bezbżeżnej pysze szatańskiej niezłomnej

*) Tadeusz Jaroszyński: „Wieża z kości słoniowej”, powieść. Warszawa, skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1909.

wiary w swoje wartości moralne i artystyczne”, chcą, by świat cały nie tylko ich uznawał i sownie opłacał, ale i służył im w korności poddańczej. Sądzą, wyniosli, że inne dla nich, niż dla „tłumu”, prawa pisane.

A więc, kto wysmaży w tygielku swej ubożuchnej wyobraźni papierowy dramat, „sknoci” źle narysowaną „kompozycję” malarską, lub wystuka palcem na klawiaturze byle jaką arytkę, temu już wszystko wolno?

Że taki samozwańczy „geniuszek” wyłudza od przyjaciół-snobów rubelka za rubelkiem na wieczne nieoddanie, to mniejsza: na to są głupie krowy na świecie, żeby je mądry ludzie doili. Że mają się za największych artystów czasów minionych, obecnych i przyszłych, i to nie zbrodnia: megalomania to jeszcze nie najostrejszy objaw psychozy.

Ale gorzej, stokroć gorzej, że ludzie tacy zatracają stopniowo jasność poglądów i bodźców etycznych, że dochodzą nieraz do pewnego rodzaju niepoczytalności moralnej, *moral insanity*, popełniając czyny, które w zwykłym kodeksie moralnym noszą miano podłych lub nędznych...

Snob wyśpiewuje swoje kuranty: „Takiemu człowiekowi wszystko wolno”...

A chłodny, sceptyczny obserwator, jak Jaroszyński, któremu Nietzsche, Ibsen, Hauptmann i inni źle rozumiani moczarze ducha nie zmącili w głowie, stoi w kącie, uśmiecha się szyderczo i szeptem:

— A to kanalie!

Ego.

Pokłosie wydawnicze.

Jadwiga Chrzęszciewska i Jadwiga Warnkówna. Moja pierwsza książeczka, czytanki po elementarzu, stopień I, wydanie drugie, z 52 rysunkami, Warszawa, 1909, nakład Gebethnera i Wolffa.

Bardzo umiejętnie ułożone czytanki dla dzieci, które zaledwie zapoznały się z elementarzem, powiastki i wierszyki, przeważnie ze świata przyrody, ozdobione licznymi a pięknie wykonanymi ilustracjami, co wszystko, wespół z mocnym papierem i dużym, wyraźnym drukiem, składa się na całość, w zupełności odpowiadającą swemu przeznaczeniu. Dodać należy, że książeczka niniejsza została zatwierdzona przez warszawski okrąg naukowy do użytku szkolnego.

ZMARLI.

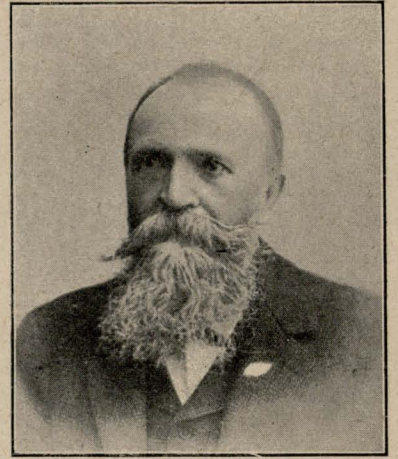
KONSTANTY HR. POTOCKI, ordynat na Tepliku, Sitkowcach i Bukszawcach, zmarł w wieku lat 62. Był to wzorowy gospodarz. W olbrzymich dobrach swoich litewskich i podolskich dbał bardzo o polepszenie bytu włościan, z którymi zawsze był w jak najlepszych stosunkach. Zakt-



dał włościańskie stowarzyszenia ubezpieczeniowe, spółki spożywcze, strażę ogniową ochotniczą i t.d. Wychowanie młodzieńcze w szkołach emigracyjnych pod kierunkiem Władysława hr. Zamoyskiego i Władysława ks. Czartoryskiego pozostawiło w duszy zmarłego niezatarte piętno; odznaczał się zawsze gorącą miłością ojczyzny.

BOLESŁAW ANC. Dnia 11 b. m. zmarł we Lwowie w 68 roku życia ś. p. Bolesław Anc, jeden z wybitnych uczestników powstania styczniowego,

postać piękna i jasna. Wzięty pod Staszowem w r. 1863 do niewoli i skazany na śmierć, a w ostatniej chwili już pod szubienicą ulaskawiony, Anc wyjechał za granicę i w Gandawie ukończył



szkołę inżynierską. Potem, ożeniwszy się, osiadł w Galicji, jako inżynier kolejowy, skąd znowu wyjechał do Bulgarii, powołany na kierownika budowy kolei Wschodniej Adryanopolsko-Konstantynopolańskiej. W Bulgarii przebywał Anc do niedawna. Dopiero przeszedł na emeryturę z powodu utraty wzroku, wrócił się do Lwowa, gdzie niejednokrotnie zasiadał pisma tamtejsze pięknie pisanymi wspomnieniami z lat burzy i krwawych wysiłków.

STANISŁAW BUCELSKI, dr. med., starszy ordynator szpitala dla obłąkanych w Tworkach, umarł w wieku lat 48. Był to człowiek zacny i zasłużony; z gorącym umiłowaniem zajmował się pracą zawodową, a prócz praktyki znalazł



czas i na ogłoszenie kilku cennych prac naukowych. Szereg mów, wygłoszonych nad grobem przez przedstawicieli naszego świata lekarskiego, zaświadczył o zasługach zmarłego.

SPROSTOWANIE.

W N-rze 32 *Tygodnika* mylnie wydrukowano nazwiska autora broszury: „Zagowory i pokuszenia na żyć... gr. Berga, M. P. *Ustimonowca*, oraz starszyny kozackiego *Zankisowa*.

„ŚMIECH” Tygodnik humor. ilustr. HOZA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2. NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR” poleca: Sole do kąpiei NAUHEIMSKICH z kwasem węglowym. Sole do kąpiei BALSAMICZNYCH z kwasem węglowym. Sole do kąpiei JODOWO-BROMOWYCH z kw. węgl. Sole do kąpiei SIARCZANYCH z kwasem węglowym. Sole do kąpiei ŻELAZISTYCH z kwasem węglowym.

WYKWINTNE OBUWIE DAMSKIE
I. FILIŃSKI Marszałkowska 153.

PIWO DROZDOWSKIE marcowe, kuracyjne sprzedają wszędzie.

Najlepsze perfumy, mydła i wody kolońskie S. J. Czepelewieckiego. Żądać wszędzie.

KSIĘGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36, pieszka na własność
GEBETHNERA i WOLFFA.

Kazimierz zaostrzył tylko trochę uśmiech, lecz pojednawczo spoglądał na perorującego wuja.

— Patrz na mnie!—mówił dalej pan Apolinary.—Ja się wprawdzie nie żenię, ani pręde; nie robię wszystkiego naraz. Ale, co robię, to mocno. Nie zauważyłeś pewno, bo masz co innego w głowie, jaki się tu zrobił ruch z mojego natchnienia... w gazetach? Mógłbym ci pokazać—no, nie twoja specjalność—rozumiem. Ale z pouczającej wędrówki, którą odbyłeś i odbywasz jeszcze ze mną, skorzystaj przynajmniej dla poznania ludzi. Ja ich grupuję, popycham, gdzie należy, zwalczam, jeżeli potrzeba; ty przynajmniej patrz się na mnie...

Kazimierz pozostawił pana Apolinarego w wątpliwości, czy, milcząc, skłania głowę przed grzmiącą powagą wuja, czy myśli zgoła o czem innym.

W godzinę potem Rokszycki wyjechał cicho, bez pożegnania.

— Nic z niego nie będzie—zawyrokował Budzisz.

XXIII.

Przyjechał, stanął w karczmie, dał znać do dworku księdza Antoniego, otrzymał zaproszenie od Krystyny z usilną prośbą o pospiech i podążył już wielkimi krokami od placu kościelnego przez główną ulicę, a raczej trakt, przerywany Ponikszką. Droga była rozmoczona po deszczu, drzewa przy niej rosiły jeszcze przy każdym powiewie natryskami rozżęzonych w słońcu kropel. Kazimierz trzymał się jednak, dla ominięcia błota, przy rowie, którego ciemna zieleń wkraczała tu i owdzie na drogę, skakał przez kałuże lekko, czując, jak go nogi niosą same jakimś dreszczem, przerobionym na siłę. Wchodził do zapłakanego niedawno miasteczka, jak ten promień słoneczny, szczęśliwy, zdawał się go nieść na sobie i rozsiewać po uśmiechniętej krainie.

Już dosięgnął brzegu parku. Mówiono, że przy drodze?... Jeszcze kilkadziesiąt szybkich kroków i mocnych uderzeń serca... Ten maleńki domek pod ogromnym baldachimem ozłoconej zieleni—czy to tu?... Nie-wątpliwie—na progu stoi Ona!

Kazimierz przeskoczył raczej, niż przeszedł mostek, ujął obie ręce Krystyny i długo je całował w milczeniu. Pociągnęła go za sobą nie do domu, lecz w pobliże do parku, chociaż drzewa ociekały jeszcze kroplami, szmerząc tajemniczo. Ptak jakiś cieszył się głośno z końca ulewy.

Objęli się najprzód wzajemnie utęsknionem spojrzeniem i stwierdzili, że wyglądają dobrze. Żary, skupione w ich oczach, tłumaczyły więcej, niż proste słowa wstępne.

— Jeden tylko list otrzymałam.

— I ja jeden.

— Niepodobieństwo!

Porzucili zaraz to dociekanie. Za pomocą szybkich słów, niby ciosów, rąbali



Ujął obie ręce Krystyny i długo je całował.

KONSTANTY GORSKI

istniejące między nimi rzeczy niewiadome i wątpliwe, jakby przedzierając się przez gąszcz ku sobie wzajemnie. Coraz większa jasność w nich wstępowała, kojąca i magnetyczna. Były jednak przedmioty rozmowy do poruszenia trudniejsze, nie tylko projekty na przyszłość, lecz i drobiazgi aktualne, głupstwa niby... Od takich jednak drobiazgów zależy szczęście chwili, a często i życia ludzkiego.

Z serdecznem zadowoleniem dowiedział się Kazimierz, że Krystyna nie pomyślała o wproszczeniu się do jakiego dworu lub pałacu okolicznych znajomych, lecz obrała sobie za mieszkanie tę pustelnię księdza.

— Doskonale pani to wynalazła. Bo gdzieżby zresztą można? W Wiszunach zaręczyny—a pani szuka spokoju. A już najserdeczniej wieszczę, że nie do księżnej Za-

sławskiej. To dopiero „wyższe towarzystwo”!

— Nie lubi pan księżnej?—spojrzała Krystyna prosto w oczy Kazimierzowi.

— Nie cierpię; mogę to pani wyznać bez ogródki.

Powiedział to tak szczerze i naturalnie, że Krystynę poniosło aż do wyświetlenia wieści o epizodzie ogrodowym.

— A tu o panu i o księżnej krążą plotki... romantyczne.

Kazimierz zdumiał się, gdyż nie pamiętał nawet, aby o księżnej Zasławskiej mówił lub słyszał po wyjeździe z Rarogów.

— Wie pani, że to już przechodzi wszelkie wyobrażenie. Ostatni raz mówiłem z tą... wybitną damą w ogrodzie w przeddzień mego wyjazdu.

— Właśnie o tej przechadzce...—roześmiała się Krystyna, odwracając oczy.

Kazimierz zatrzymał się i brwi zmarszczył..

— Rozumiem: księżna opowiadała o naszej rozmowie, bo nie mógł nikt inny... Opowiadała... na opak. Są kobiety, których nie warto oszczędzać, bo same nie oszczędzają ani siebie, ani innych.

Krystyna piła gniewne słowa Kazimierza z rozkoszą. Ale on się zasępił:

— Widzę, że same złe o mnie wieści tu dochodziły. Czy pani im dawała wiarę?

— Nie, panie. Ale zgadł pan, że pracowano tu usilnie, z wielu stron, aby pana... podać w wątpliwość.

— Tak—rzekł Kazimierz mocno i dumnie—ludzie podli przeszkadzają, aby przyładkiem nie stało się co pięknego na świecie.

Krystynie wyrwało się z piersi głębokie, drżące westchnienie. Czekwała przez chwilę na dalszy ciąg przemowy Kazimierza, ale on zamilkł i groźnie wypatrywał przez gąszcze jakichś zacząonych nieprzyjaciół. Spojrzył potem na twarz Krystyny rozjaśnioną, mówiącą tylko o bezwarunkowym, namiętnym zaufaniu.

— Na szczęście my... wierzymy sobie?—rzekł, biorąc za wyciągające się ku niemu dłoń Krystyny.

— Na szczęście—powtórzyła cicho.

Bezładnie powracali do wzajemnych o sobie powiadomień, przerywając ciągle wykrzyknikami, że nic nie wiedzą, a jednak o tem wszystkim już pisali do siebie. Począta, choćby najgorsza, nie zagubiłaby tylu listów; widocznie przejmowano ich korespondencję na stacyach prowincjonalnych litewskich. Dowiedziała się więc tu dopiero Krystyna, że Kazimierz nie przestał myśleć o jej interesach, że zamówił technika leśnego na koniec listopada; że przemyśla o budowaniu przędzalni nie w Ziembowie, lecz gdzieś na Litwie. A Kazimierz pierwszy raz tu usłyszał naprzykład o pułkowniku Chmarze i jego odrzuconych staraniach! Te wszystkie wiadomości składały jakiś nienazwany, a jednak jaśniejący w półświadomości młodych wniosek, jakieś zbliżanie się szczęścia, niby wigilię wielkiego święta serc, radośniejszą częstokroć, niż samo święto. Wzmogła się między nimi ciepła, rozhułana zażyłość; mówili śpiesznie, pełni wesela, nie licząc się ze słowami.

— Więc ja nie wyszłam za pułkownika, hrrr! a pan nie zaręczył się z Aldoną Budziszówną—bo i o takim projekcie tu opowiadano.

— Był projekt—śmiał się serdecznie Kazimierz—tylko nie mój, ale wuja Apolinarego Budzisa. Żeby pani wiedziała, com ja wycierpiał przez tę pannę Aldonę, która Bogu ducha winna, a serce Kmicie! Pan Apolinary zarejestrował konieczność mego małżeństwa z nią do swego programu politycznego, a gdy on co wymyśli, to rzecz niełatwa wybić mu z głowy, zwłaszcza z gardła. Wmawiał to moim rodzicom, sąsiadom, bodaj że wniósł na sesję swoich tam komitetów... Kiedym się dowiedział o zaręczynach z Kmitą, odetchnąłem. Nie od ciężaru jakichkolwiek zobowiązań, bom za-

dnych [nie zaciągał, ale od wymowy wuja. Teraz wuj jest na mnie wściekły i dowodzi mi, że niedołęga.

— On panu?!—zawołała Krystyna.

— Niech pani tego do serca nie bierze; najlepszy człowiek, bardzo się lubimy.

— Zaprosili mnie na zjazd zaręczynowy do Wiszun—dodała spokojniej Krystyna.

— Mnie także.

— I pan pojedzie?

— A pani?

— Mogę pojechać, jeżeli pan tam będzie.

— Ja tem bardziej. A to doskonale!

Przedłużająca się perspektywa wspólnych planów wywołała chwilę radosnego milczenia. Kazimierz spojrył w górę na niezmiernie bukiety w tonach żółto-zielonych, zwieszające się, piętrzące, rozszepowane przyjaznym pogwarem nad jej i jego głowami.

— Wspaniale tu mieszka sobie ksiądz Wyrwicz.

— Parku nie dzierzawi—objaśniła Krystyna—park i dwór są puste, bo w nich straszy podobno marszałek Stetkiewicz, dawny dziedzic.

— I dlatego nikt nie dzierzawi?—

Widzę, że trzeba kupować tu dwory, zamieszkałe przez duchy; muszą być tanie, a bywają cudowne—rzekł żartobliwie Kazimierz.

Ale Krystyna z żartu wyłowiła inną intencję:

— Czy pan szuka ziemi do nabycia na Litwie?

— Bardzobym pragnął tu osiąść, tylko jeszcze cała przyszłość jest w stanie wrzenia...

Wyraz „przyszłość” zamykał im usta, lecz oczy napełniał ogniem.

— A gdzie ksiądz Wyrwicz?—odezwał się znowu Kazimierz—czy wie o moim przyjeździe?

— Wie oddawna.

— Oddawna?

— Mówiłam mu, że zapraszałam tu pana. Tu są przecie duże zbiory lnu. Zobaczy pan, ile tego moczy się w jeziorze.

— Prawda! nie otrzymałem i tego listu pani, bom dawno wyjechał z Ziembowa. Więc pani i o lnieniu myślała... Ja zaś przyjechałem bez zaproszenia—szukałem, szukałem—i znalazłem.

— To już jest... jak się to nazywa?... telepatya! Czuł pan, że go zapraszam.

— A pani czuła... listy ode mnie?

— Czułam... ale gorliwie mi przeszkadzano.

— Teraz już chyba nikt przeszkodzić nie zdoła, abyśmy sobie ufali i połączyli nasze usiłowania... w celach... dla jakiejś przyszłości.

Kazimierz, który mówił łatwo, nie znalazł stosownego wyrazu. Znowu słowo „przyszłość”, wielkie, odurzające, ale nieokreślone, stanęło w poprzek swobodnemu porozumieniu.

Krystyna potrząsnęła głową, odganiając nawał myśli.

— Nie wiem, doprawdy, gdzie się podział ksiądz Antoni. Był tu niedawno i miał za-

raz powrócić. Poszukajmy go, bo przecie pan musi zaraz go poznać.

Poszukali księdza w domu, ale go tam nie było.

Spotkali tylko pannę Zubowską, z którą przywitanie zajęło kilka minut. Piotr, przedstawiony Kazimierzowi, jako brat Jurka, oznajmił, że dobrodziej nie będzie dzisiaj na wieczery we dworku, gdyż obiecał być u księdza dziekana. Pierwszy raz to się zdarzyło od przyjazdu Krystyny.

— Chodźmy do niego; dzisiaj koniecznie musi go pan poznać.

— Pójdę, gdzie tylko pani rozkaże.

Poszli więc tą samą ulicą nie brukowaną, którą Kazimierz przebył niedawno w odwrotnym kierunku. Osychała już po deszczu, założona przerywanym pomostem ostrych cieniów od drzew i domów, gdyż niższe słońce świeciło jaskrawo. Para młodych piękna, chęta, ubrana zupełnie inaczej, niż zwyczaj był w Ponikszcie, była zjawiskiem pociągającym. Rozdziawiały się domy przydrożne drzwiami i nawet oknami. Znowu tam ksiądz Wyrwicz naspraszal dziwnych gości... będzie może wieczorynka?

Nie było księdza Antoniego u dziekana. Dział kościelny, stojący u furty od zakrystyi, objaśnił, że ksiądz Wyrwicz kazał sobie kościół otworzyć i wszedł do wnętrza.

(DCN)

GUY DE TÉRAMOND:

R ó ż e.

Bar. de Morvandes był oryginałem. Od sfer towarzyskich trzymał się zawsze na uboczu, nie troszcząc się o ich sprawy, a nawet ze spokojem filozoficznym, z którym łączyło się też trochę dumy i sceptycyzmu, spoglądał na wypadki najważniejsze, przewijające się w kalejdoskopie życia publicznego. Bogaty, bez rodziny, wysoko wykształcony, nie znał innego prawa, jak upodobania własne, i uczynił niezależność zupełną podstawą istnienia swego.



— Jak widzę—rzekł—pani nie raczyła przeczytać napisu, umieszczonego na tablicy,

— Dlaczego się nie żenisz? — zagadnął go pewnego razu towarzyszył lat dziecięcych.—Z takim majątkiem i nazwiskiem, jak twoje, można zrobić świetną partję.

— Masz rację — odparł baron ze spokojem niewzruszonym—o tej możliwości nie pomyślałem jeszcze nigdy.

— Tylko nie odkładaj, aby nie było za późno.

— Istotnie... Muszę zastanowić się nad tem. Ale lata mijają, włosy przyprószyła siwizna, on zaś zawsze był jeszcze kawalerem. W miarę zaś przybywania lat, zdawała się wzrastać odraza jego do ludzi. Opuścił Paryż, zakupił małą posiadłość ziemską w Bretanii, tuż pod Dinardem, i tam, gdzie nawet jesienią czuć łagodne powiewy wiosenne, mijają dni jego wśród książek, psów i koni, w kontemplacji samolubnej.

Przed willą, położoną na wzniesieniu, ciągnęły się w dół, aż do brzegów rzeki, kwietniki wspaniałe, których zakończenie: wciąż kwitnący gaj krzaków róży, stanowił największą atrakcję okolicy i ulubiony cel wycieczek gości kąpielowych. Delikatna zaś uprzejmość barona względem zwiedzających ogrody przyczyniała się niemało do utworzenia nimbu nadzwyczajności i tajemniczości dokoła osoby jego.

Pośrodku gaju róż kwitnących wznosił się słup z tablicą, na której widniał napis następujący: „Każda piękna kobieta ma prawo zerwać różę”.

I żadna z pań, zwiedzających ogrody, nie minęła słupa obojętnie. Każda stanęła, przeczytała napis i natychmiast zrywała kwiat, nie bez tego jednak, aby szybkim rzutem oka nie wybrać barwy, najbardziej odpowiadającej cerze swojej.

Siedząc u okna, za firanką muślinową, pozwalającą widzieć wszystko, bez zwrócenia na siebie uwagi, zabawiał się baron niejednokrotnie tym widokiem kokieterii niewieściej. A najzabawniejsze było to, że ani jedna z kobiet, oglądających gaj różany, nie zawahała się ani chwili, aby skorzystać z zaproszenia uprzejmego. Wszystkie ujawniały ten sam ruch instynktowny, jak ku zwierciadłu, mającemu zwiastować im, że są piękne, piękne, pomimo wieku i pomimo natury, nie zawsze szafującej rozrzutnie wdziękami, piękne tak, jak były niegdyś lub jak być pragnęły, piękne, jak ta róża, pozwalająca uszczknąć się bezkarnie.

Pewnego jednak dnia zawiodła barona znajomość charakteru ludzkiego.

Był początek lipca. Sezon kąpielowy dosięgał szczytu, i codzień rozlewał się potok ludzi wśród kwiatów w pełni rozkwitu.

Po raz pierwszy od czasu zajęcia przez właściciela ogrodu stanowiska, ukrytego za firanką muślinową, kobieta o postaci smukłej i wytwornej przeszła wśród krzaków róż, nie zerwawszy kwiatka, i usiadła opodal na murawie.

Postępek ten nieznanym zdzawił barona w najwyższym stopniu. Czyżby rysy, ukryte pod jasnym kapeluszem słomkowym, były tak brzydkie, że nawet właścicielka ich zdawała sobie z tego sprawę?

Wobec myśli tej odczuł odrazu niestosowność napisu i, jako dżentelmen, pragnienie powetowania obrazu, wyrządzonej mimowoli.

Zapatrzona w cudnie zachodzące za ocean słońce, nie słyszała zbliżających się kroków, to też de Morvandes mógł przypatrzeć się jej bez przeszkody.

O dziwo! Była piękna w całym znaczeniu tego słowa. Obfite włosy jasne okrążyły twarz regularną i delikatną. Cień wielkiego słomkowego kapelusza, ozdobionego jedynie wstążką niebieską, nadawał cerze urok niewysłowiony, cała zaś postać tchnęła wdziękiem młodości. Zdziwiony przyjemnie, podszedł do nieznanym krokiem wolnym, aby jej nie przestraszyć.

— Jak widzę—rzekł—pani nie raczyła przeczytać napisu, umieszczonego na tablicy.

Nieznaną drgnęła, zarumieniła się i chciała powstać z ziemi, ale baron uklonił się grzecznie.

— Przepraszam za śmiałość, ale jestem właścicielem tego ogrodu... Baron Morvandes... zapewne nazwisko moje jest już znane pani...

Uklon, słowa uprzejme i sympatyczny wygląd właściciela ogrodu rozproszyły snadź obawy pięknej pani, gdyż nie usiłowała już powstać z trawnika i zwróciła piękną główkę ku mówiącemu.

— W takim razie—zabrział głos jej dźwięczny—muszę przeprosić pana najpierw za rozsiadanie się na trawniku pańskim, a następnie za wywołanie podejrzenia, że nie oceniam piękności róż pańskich. Przeciwnie, jestem niemi wprost zachwycona.

— Dlaczego więc nie zerwała pani choć jednej?... Wszak pani to wolno — dodał z uśmiechem na ustach.

Opuściła oczy i wyznała całkiem otwarcie: — Nie śmiałam.

Lody były złamane. Po kilku chwilach rozmawiali już, jak starzy przyjaciele. Stopniowo opowiedziała mu, że od trzech tygodni bawi w gościnie u starej znajomej rodziców w Dinard, że, będąc małą jeszcze dziewczką, postradała ojca, który zostawił matce majątek skromny, wystarczający zaledwie na opędzenie wydatków koniecznych. Cóż za widoki miała wobec tego na przyszłość? Los młodej, biednej dziewczyny jest wcale nie do po zazdrośczenia. Poważnych konkurentów o jej rękę nie było, wiedzieli bowiem, że nie posiada majątku, a ponieważ za dumna jest, aby służyć za zabawkę komukolwiek, żyje przeto samotna i zapomniana.

Opowiadała to wszystko głosem smutnym, ale spokojnym, jakby zadowolona, że znalazła powiernika, który przysłuchuje się jej ze współczuciem, a przed którym tem bardziej mogła wywnętrzyć się swobodnie, że nie spodziewała się ujrzeć go więcej. Niemniej, pomimo dumnego spokoju, z jakim temat powyższy omawiała, w tonie jej mowy przebrzmiewało czasem echo tęsknoty za małżonkiem, za własnym ogniskiem domowym, które upiększyłaby wdziękiem swoim, pełnym uśmiechów życia.

Morvandes zrozumiał teraz, dlaczego róży nie zerwała. Na cóż jej piękność, przynosząca tylko cierpienie i rozczarowanie?

— Jakże prędko czas schodzi na pogawędce!—zawołała wreszcie, zrywając się z murawy.—Spóźniłem się do domu i zaniepokoję opiekunkę moją!... Przepraszam, ale muszę pana opuścić...

— Wiem teraz przynajmniej, dlaczego pani nie raczyła zerwać róży—rzekł baron głosem, drżącym lekko ze wzruszenia, jakkolwiek usiłował nadać słowom swoim ton żartobliwy.—Cały ten gaj różany powinienby leżeć u stóp pani.

A gdy zaprotestowała, śmiejąc się i grożąc, że się pogniewa, jeżeli będzie prawil jej komplementy banalne, dodał:

— Ale pozwoli pani przynajmniej, aby ogrodnik mój przyniósł jutro opiekunce pani bukiet róż?...

Podala mu, dziękując, rękę i odeszła, on zaś spoglądał za nią, dopóki nie znikła na zakręcie drogi, poczem długo jeszcze stał zadumany w gaju różanym, znajdując w każdej odmianie pięknych kwiatów coś z nieznanym. Różowe posiadały aksamitność przezroczystą jej cery, czerwone—purpurę jej warg, herbaciane — przypominały złotawy odbłysek jej włosów.

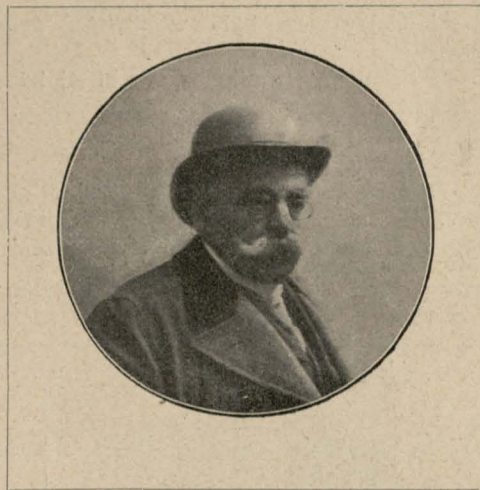
Powoli nadchodziła noc. Gaj różany obejmowała całunem mgła szara, zacierając stopniowo wszystkie barwy...

Zadumany i w złym humorze powrócił do domu, zadając sobie po raz pierwszy pytanie: czy dobrze uczynił, szukając zadowolenia w samolubstwie i odosobnieniu, i czy nie byłoby łatwiej, niż myślał, osiągnąć szczęście?

Odruchowo spojrzął w zwierciadło. Ujrzał w niem włosy szpakowate oraz zmarszczki, wyrzeźbione bezlitośnie na twarzy przez mijającą czterdziestkę, i powtórzył w duszy słowa, które usłyszał niegdyś z ust przyjaciela: Oby nie było za późno!

Następnego jednak poranka kazał zrobić wielki bukiet z róż najpiękniejszych i sam zaniósł go pannie...

przeł. S. Barszczewski.



Kajetan Abgarowicz (Abgar-Soltan).

ABGAR-SOLTAN.

Trochę zapóźno.

NOVELLA.

W numerze niniejszym rozpoczynamy nowelę zmarłego przed dwoma tygodniami powieściopisarza, ostatni jego utwór, pisany na miesiąc przed zgonem. Doszedł on rąk naszych równocześnie z żalobną wieścią o śmierci autora „Klubu nietoperzy”. Znajdą w nim nasi czytelnicy smutne jakby przecucie rychłego końca.

Wróciła świadomość.

Chory od kilku miesięcy sławny malarz, Piotr Weihard, prawie cały dzień przepędził w stanie półsnu, półjawy. Zatruty toksynami mózgu sprawiał, że przytomność wielkiego artysty była więcej niż wątpliwej wartości. A już sam, to absolutnie nie umiał sobie dokładnie zdać sprawy ze swego stanu.

Zasypiał snem prawdziwym przed samem południem, nie dłużej jak na godzinę, i po tym śnie pokrzepiającym miał zawsze jakieś półgodziny zupełnie przytomne... Wówczas zdawał sobie dokładnie sprawę ze swego stanu i dawał rozporządzenie swej siostrze, która od chwili przyjazdu Weiharda do Lwowa, wezwana telegramem, bez przerwy bawiła przy ciężko chorym bracie.

Lekarze, zawiadani przez siostrę, skonstataowali odrazu ciężką chorobę sercową, połączoną z zaatakowaniem nerek, i przepisali uciążliwą, a kosztowną kurację, do której wchodził wyjazd zagranicę i pobyt przez zimę w Egipcie... I robili nadzieję, że w razie zastosowania się dokładnego do tych przepisów artysta żyć może jeszcze lat kilkanaście, a nawet pracować, ale bez wyczerpania.

Niestety, rada była niewykonalna!

Weihard, zarabiający za swych świetnych czasów tysiące, nie oszczędzał nic. Za ostatnie pieniądze kupił bilet z Paryża do Lwowa i zatelegrafował do siostry. Pieniądze na początkowe życie we Lwowie, na leczenie i bieżące wydatki czerpał ze sprzedaży klejnotów i kosztownych fraszek, do których ongiś miał słabość i których za swych świetnych czasów dużo kupował. To starczyło na kilka miesięcy. Od miesiąca zaczęło już być krucho; starczyło zaledwie na najpotrzebniejsze wydatki, a od tygodnia nie miał już czem płacić rachunku za mieszkanie i jedzenie.

Obudziwszy się, popatrzył smutno po ciemnym, zaduszonym, brudnym pokoiku, który zajmował wraz z siostrą w tanim „hotelu Złoczowski”, i wyraz obrzydzenia zjawił się na jego pięknej, ale puchlizną i nie golonym zarostem zeszepeczonej twarzy.

— Świństwo! Jakie świństwo!—szepnął.

Na odgłos tych wyrazów podbiegła zaraz jego siostra, czterdziestoletnia może panna, jeszcze dość świeża i nosząca na sobie piętno szlachetnej, patrycyuszowskiej róży.

— A jak się czujesz dziś, Piotrusiu?

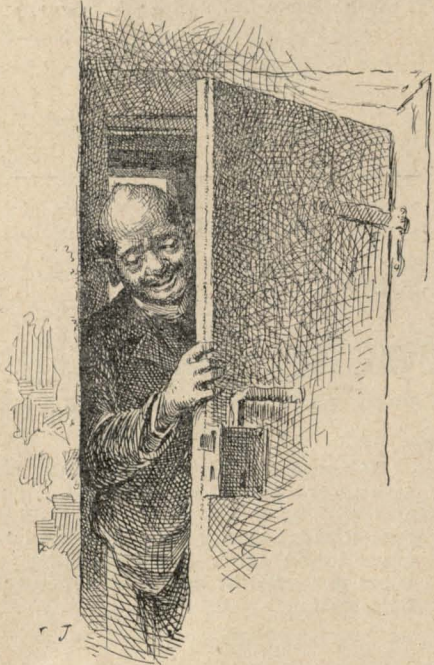
— Jak pies na jarmarku! — odburknął niechętnie.

— Lepiejby nam było w naszym domku, w Jarudze.

— Pewno! Ale myślałem, że bliżej lekarzy będę, że oni mi co pomogą... Teraz widzę, że to osły, do niczego.

— Nic trać nadziei!

— Nie mam jej już dawno... Musi człowiek zdychać... A szkoda, miałem jeszcze cudowne pomysły do trzech obrazów. Moja wina, że ich



Tłusta twarz gospodarza wsunęła się przez drzwi.

nie wykonał... Marnowałem talent na drobiazgi, smarowałem podłe mieszczańskie portrety, istne bohomyzy dla prędkiego zarobku, a rzeczy prawdziwie natchnione, które powołać do życia było wprost moim obowiązkiem, zostały nie wykonane.

— Jeszcze wymalujesz!

— Chyba na ścianie w apartamentach Belzebuba! Smoła! Smoła! Psia krew, nadwornego mu malarza potrzeba!

W tej chwili zapukał ktoś uroczyście do drzwi.

— Proszę!—zawołał malarz.

Tłusta, błyszcząca, spocona twarz gospodarza hotelu wsunęła się przez przyciasne drzwi.

— Z panem dobrodziejem można teraz pogadać?—zwrócił się z pytaniem do panny Anny.

— Chodź pan do środka i zamykaj drzwi — zawołał Weihard dość opryskliwym tonem.

— Dobrze! dobrze! — szepnął onieśmielony gospodarz.

— Czego pan sobie życzy?

Tłuściutki człowieczek zmieszał się na to pytanie... Rozkazujący głos i pański ton malarza onieśmielał go stale.

— Tydzień się skończył—szepnął nieśmiało, jękając się.—Na drugi już trzy dni, a rachunek nie płacony... Przyszedłem... To jest... śmiem zapytać pana dobrodziejca... Nie dlatego, że bym się bał, ale... ot tak dla—porządku... Kiedy będzie zapłacone?

— Musisz pan poczekać!—zawołał Weihard porywczo.—Widzisz, że leżę i wyjść nie mogę, a muszę pójść, postarać się o pieniądze.

Czerwona twarz gospodarza przybladła nagle, dolna warga trząść się zaczęła.

— No, to coś całkiem nowego! — zawołał drżącym głosem.—Ja wielmożnego pana miałem za pierszego gościa, za piersze klasę. A pan teraz nie płaci... To ostatnia rzecz w hotelu nie płacić, to jest grzech... To jest przykazanie Boskie w hotelu zawsze płacić.

Na skroniach Weiharda występować zaczęły żyły, jak postronki, w oczach zapalały się ogniki wielkiego gniewu, spuchnięte, bezkształtne palce starały się zbliżyć do siebie i zacisnąć w pięść. W piersiach coś grało, i oddech chwycił z trudnością. Nagle wybuchnął:

— Zapłać! Zapłać! Idź już pan do stu dyabłów!

— Panie łaskawyl — zawołała panna Anna, zbliżając się do rozsierzonego gospodarza — błagam pana, niech pan nie irytuje chorego, to mu śmiertelnie szkodzi... My zapłacimy... To niewielka suma.

— Wielka, nie wielka, ale zawsze już się należy z dzisiejszym obiadem sto jedenaście koron z halerzami... A ja całkiem nie mam pretensyi, aby państwo solidarnie płacili... Pani—przepraszam honor pani—nie jest żaden solidny płatnik... Ja mam pretensję tylko do pana Piotra Weiharda, artysty-malarza... Mnie powiedzieli, co pan artysta-malarz jest dobry na tysiące, a ja teraz widzę, że on jest kiepski nawet na setki. Ja czekać nie mogę, ja mam interes, który musi mieć pieniądze co tygodnia.

W tej chwili jasny promień majowego słońca przedarł się przez zaproszone, brudne szyby hotelowego okna i spoczął na zdeformowanej ręce malarza... I zamigotały nagle dziwne tęcze blaski. Na spuchniętej ręce Weiharda tkwił do połowy zaledwie małego palca migający pierścień wspaniały, a w brylancie pierścienia łamało się światło słoneczne, rzucając cudowne, tęcze promienie.

Gospodarz ujrzał je i oniemiał z podziwu. Zamilkł i pożądliwym okiem patrzył.

— Co to jest?—zapytał onieśmielony, wskazując na pierścień.—Czy to prawdziwy dyament?

— Nie dyament, ale najprawdziwszy brylant! — odrzekł malarz, zabawiony głupią miną oberzysty.

— Wielmożny pan nie potrzebuje się turbować—zawołał wesoło — ja bardzo, bardzo przepraszam jaśnie pana... Taki brylant to wart tysięcy... Ja zaraz pójde i przyprowadzę takiego kupca, który na zastaw tego sygneta pożyczyci pieniądze, wiele jaśnie pan zechce.

— Wierzę!—zawołał malarz — to pierścień od królowej rumuńskiej.

— To jest antyczny pierścionek, to jest majątek... Ja jego u jasnego pana jeszcze nie widział... Ja bardzo przepraszam, ale, jakby ja jego był widział, to jabym się o takie parszywe sto jedenaście koron z halerzami nie upominał... No, mam iść po tego kupca? Na mały procent on pożyczyci, aby mieć do czynienia z takim hrabią, co ma takie brylanty.

— Wie pan co—rzekł Weihard—przyjdź pan o czwartej po obiedzie, to pogadamy, a teraz daj odpocząć.

Ostatnie słowa wymówił z trudnością, duszność go dławiała, słowa zaledwie szeptem z ust wychodziły.

Gospodarz w niskich ukłonach zniknął za drzwiami.

— Podłe było ludzkie! — szepnął malarz i z trudem próbował posunąć się wyżej na poduszkach.

Siostra pośpieszyła mu z pomocą... Posunął się wreszcie tak, że prawie usiadł na łóżku, lecz wnet porwał go kaszel gwałtowny, aż posiniał z wysilenia.

Panna Anna z troskliwością podała mu łyżkę mikstury, którą zażywał zawsze w gwałtownych atakach kaszlu... Po kilku minutach przyszedł do siebie i rzekł, wskazując na brylant:

— Dostałem go od Carmen Silvy, gdy skończył jej portret... Pyszne było płótno!... Malowałem ją na karym, arabskim ogierze. Wspaniałe zwierzę... Czarny był, jak kruk, ale tą czarnością dziwną, pod którą czuć było jakby całe morze rozpalonego, płynnego, świecącego metalu, który gwałtownie przebijał się przez

czarną powłokę. Na tym rumaku siedziała, spokojnie, od niechcenia mi pozująca postać kobieca... królowa w każdym calu... Szczęśliwym trafem udało mi się w tej twarzy, w tej postaci utrwalić majestat ziemski i majestat duchowy... Stworzyłem typ monarchini ciała i duszy ludzkich... Gdy jej portret oddała, uszczęśliwiona, obdarzyła mnie tym królewskim pierścieniem.

Przestał, aby oddech schwycić.

Po chwili mówił dalej:

— Dar był podany z takim majestatem, że odmówić nie śmiałem... Dziś może będzie źródłem mego ratunku... Sprzedam pierścień.

— Nie rozstawaj się z nim!... To pamiątka... Wspomnienie najwyższego rozkwitu twej twórczości... Pomnik twej sławy.

— Słuchaj! Nie przerywaj mi!

— Pozwól jedno słowo! Napisałam do proboszcza, aby na nasz domek i folwarczek zaciągnął tysiąc koron długu i przysłał nam tu.

— Bez mego podpisu nic nie robi, a ja nie chcę obciążać tej resztki naszej fortuny. Niech Kazik, syn mego brata, ostatni Wejhard, ma choć ostatni skrawek z rozległych ziem, należących ongiś do Wejhardów. Niech ma stary odrestaurowany zameczek... Niech wspomni czasem o swoim stryju, który lekkomyślnie przez życie przeszedł, chociaż miał w ręku tyle pieniędzy, że mógł być odkupić wszystkie ziemie, należące niegdyś do rodziny.

— Nie myśl o tem—szepnęła ze smutkiem.

— Mniejsza z tem! Słuchaj uważnie... Jest tu we Lwowie wyjątkowo uczciwy jubiler... Jabłkowski. Kupowałem u niego nieraz klejnoty, i nigdy mnie nie okpił... Wyjątkowy... On zna ten brylant królowej, przed laty ocenił go na sześć tysięcy koron... Teraz wart więcej. Pójdź zaraz do niego z tym pierścionkiem i proś go, aby mi go sprzedał...

— Decydujesz się?

— Tak, tak!... Chcę żyć, uzyskane pieniądze dadzą mi możność pojechania do Egiptu... A tam, pod życiodajnymi promieniami faraonowego słońca, w suchym, gorącym powietrzu pustyni, odzyskam zdrowie... Pałacy oddech piaszczystej pustyni wysie ze mnie tę ropę obrzydłą. Jeszcze tam, w blaskach południa ubiorę w ciało pomysły, drzemające w mej duszy. Śpiesz się!

Za chwilę panna Anna wyszła.

* * *

W pięć minut potem stroskana kobieta weszła do sklepu jubilera.

Kupujących nie było, patron stał za ladą, pracując zawzięcie. Nie przerywając pracy, rzucił okiem na wchodzącą i zapytał dość obojętnie:

— Czem mogę służyć?

— Jestem Anna Weihardówna, siostra arty-



W tej chwili jasny promień słońca spoczął na ręce malarza.

sty-malarza Piotra, przychodzę do pana z ważnym interesem od brata.

Na te słowa złotnik pośpiesznie przerwał pracę, przedmiot, trzymany w ręce, odłożył na bok i z największą uprzejmością zapytał:

— Pani jest siostrą pana Piotra Weiharda... twórcy bitwy raszyńskiej?

— Tak! I mam do pana ważny interes.

— Jestem na usługi.

Podła mu, milcząc, pierścionek.

On popatrzył i zawołał:

— Znam go... Brylant od królowej rumuńskiej.

— Tak!... Mój brat leży tu chory od czterech miesięcy... Tu we Lwowie, w hotelu Złoczowskim... Jest mu coraz gorzej, a wyczerpał wszelką posiadaną gotówkę i potrzebuje pieniędzy na dalszą kurację, a względnie na podróż do Egiptu, przysła więc przeze mnie ten pierścionek z prośbą do pana, abys raczył zająć się sprzedażą tego klejnotu.

Jubiler słuchał zdumiony i zrazu prawie mówiąc nie mógł, o co chodzi. Bezwiednie powtarzał za przybyłą:

— Piotr Weihard, chory, leży w Złoczowskim hotelu... w Złoczowskim. I przysłał na sprzedaż brylant od królowej rumuńskiej.

— Tak!—szepnęła panna.

— Pojąć nie mogę... Weihard w hotelu Złoczowskim sprzedaje brylant.

— Prosił jeszcze—przerwała Anna—abyś pan raczył, w razie gdyby nie było natychmiast kupca na tak cenny klejnot, wziąć pierścionek do siebie, a mnie dać tysiąc koron na bieżące wydatki.

— Proszę dać mi pierścienie—rzekł dość opryskliwie jubiler, a wyraz nieufności zjawił się w jego przenikliwych oczach.

Podszedł do światła i tam przez lupę zaczął się pilnie przyglądać klejnotowi.

— Niema wątpliwości... Brylant królowej... Jestem na usługi pani!

Pośpiesznie zrzucił bluzę, którą okrywał eleganckie ubranie. Otworzył szafę wertheimowską... włożył do niej podany przez przybyłą klejnot i wyjął banknot tysiackoronowy.

— Jeśli można, drobniejzmi — zauważyła Anna.

— Dobrze!

I odliczył kwotę drobnymi banknotami i, podając je, rzekł:

— Tysiąc koron! Proszę uważnie przeliczyć. Zaczęła bezmyślnie liczyć pieniądze.

— Pani pozwoli, że panią odprowadzę—odał uprzejmie jubiler.—Panie takie nieostrożne... Przyniosła pani taki drogocenny klejnot w pod ręcznej torebce, pierwszy lepszy kieszonkowy zło-

dziej na ulicy mógł pani wyrwać z rąk tę torebkę... Zresztą, chcę zobaczyć panna Piotra i zapytać, czy mu nie mogę być w czem pomocnym.

Wyszli.

Już na schodach w hotelu doleciał ich odgłos niby głośniejszej rozmowy z pokoju Weiharda. Anna mimowolnie przyspieszyła kroku, jubiler szedł tuż za nią. W pokoju słychać było prawie krzyk.

Pobiegli gwałtownie.

Straszny widok ich uderzył: Weihard leżał na wznak, jedną rękę oparł na niskim stolyczku, stojącym obok łóżka, a głowa z twarzą czerwona, prawie siną, nabiegłą krwią, zwiesił z łóżka... Z ust bezustanku wydobywały się nie związane z sobą zdania:

— Królową więzicie!... Puście królową! Wypuście ją z tego więzienia ceremoniału!

Panna Anna ze złotnikiem poskoczyli podnieść głowę i przesunąć ją na poduszki. Weihard popatrzył na nich obłąkanym, prawie nieprzytomnym wzrokiem i wołał dalej:

— Precz! Precz od królowej! Zostawcie ją! Ona nasza... Jej żyć z nami, artystami, malarzami, poetami.. Precz, dworska psiarnio! Ona jest pomazańcem... Geniusz arcyzmu oparł na niej swe dłonie... Ona nasza.. do nas należy!

Z trudem udało się Annie przy pomocy jubilera ułożyć spokojnie Weiharda na postaniu.

(DN)

NADESŁANE.



STANISŁAW KRAUSE i S^{KA}

FABRYKA I MAGAZYN
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY

Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



MEBLE

ZAŁĘSKI i S-ka

Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY

D-ra Ludwika Chybczyńskiego
Warszawa, ul. SZOPENA 1. Telefon 132-92.
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Roentgen'a, Kromawera, radium i elektrolizą.
Choroby weneryczne.

GEETHNER i WOLFF

W WARSZAWIE
KRAK.-PRZEDM. 17





DLA CAŁUSA

jest stworzoną delikatną, czystą twarz o rumianym, młodociano-świeżym wyglądzie, białej, jak jedwab miękkiej skórze i oślepiąco-pięknej cerze bez piegów i skórnych nieczystości, używajcie zatem tylko prawdziwe

Mydło z mleka liliowego „Konik“
wyrobu Bergmann & S^{KA}, Radebeul-Drezno.
Dostać można wszędzie po 50 kop. za sztukę.
Główny skład na Państwo Rosyjskie:
Biuro chemicznych preparatów, St.-Petersburg, Newski 28, dom Singera.

Żądać tylko w czerwonym opakowaniu.



MACZKA MLECZNA

Od przeszło 40-stu lat polecana przez lekarzy całego świata jako idealny pokarm
— DLA DZIECI —
i dorosłych chorych na żołądek.

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY

D-ra ROBERTA BERNHARDTA
ordynatora szpitala św. Łazarza.
WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentgena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Arsonizacja. Choroby weneryczne.

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa
w Warszawie:

Modest Maryański

Przewodnik polsko-angiel.

Słownik polsko-angielski

dla wychodźców polskich i przybyszów do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanady, ułatwić mający stawianie kroków pierwszych w kraju obcym i naukę języka angielskiego z podaniem wymowy i brzmienia każdego wyrazu angielskiego według metody fonetycznej, z dołączeniem niektórych uwag, rad i wskazówek. Wydanie 2. W oprawie rb. 1.20.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

KALODONT

Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.

Żądać wszędzie



Poleca własnego wyrobu **Kakao** w proszku,
G. G. LARDELLI Czekoladę **Mleczną-Unique, Czekoladki Deserowe**, oraz Wyroby Cukiernicze.

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

Litwince. Krem *Dra Orgley* nie powinien sprawiać zaognień, jeśli jednak Pani ma skórę tak dalece wrażliwą, należy te żółte plamy na szyi, których się chcemy pozbyć, nasmarować wazeliną, a na to położyć warstewkę cienką *Kremu Dra Orgley* i lekko wetrzeć w skórę. Rano zmyć letnią wodą z mydłem *Neutralnem*, można również użyć mydła *Ogórkowe Karpińskiego*, lecz *Neutralne* jest pewniejsze dla drażliwej skóry. Tem samym mydłem może Pani myć głowę.

Kapryśnej. Elixir *Tymenol* zastąpi w zupełności wszystkie zagraniczne. Przytem jest smaczny w użyciu, świetnie dezynfekuje jamę ustną i chroni zęby od próchnienia. Z pudrów zaś do twarzy krajowego wyrobu zalecamy przed innymi puder *Delicia*, prawie niedostrzegalny i dobrze przylegający.

P. Stefani. Jeżeli Pani nie ma cierpliwości, to należy *Abarid* zarzucić zupełnie. Środek ten przeciwmarszczkowy jest niezawodny, ale musi być używany stale, codziennie. Po kilku miesiącach usunie pani zmarszczki radykalnie. Węgry i czarne punkciki wymywa momentalnie *Pureol Dufoura*.

Do różnych. Dłuższych informacji udzielamy listownie, bezpłatnie, należy jednak załączyć jedną markę pocztową na odpowiedź. Zalecane przez nas specyfiki dostarczy pocztą perfumerya *Perfection*, Szpitalna 10, i *Paszkowski*, Marszałkowska 109.

Mercédès.

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro). Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

**LUDWIK SZUFA
KRAWIEC**
KRAKOW TELEFON 671

HURTOWY I DETALICZNY
SKŁAD SUKNA I KORTÓW
LEONA MESSINGA
MIODOWA № 7
poleca modne materiały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.

L. Lipiński (Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12.)
(WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie,)

Brylanty, kolorowe kamienie i perły oraz biżuteria złota i srebrna w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

KARPIŃSKIEGO
KREM OGÓRKOWY MATOWY
Cena 60 kop:
Laboratorium Chemiczno-Farmaceutyczne
Fr. Karpińskiego
w Warszawie Elekoralna 35. Telefon 600
Ządać wszędzie.



Specjalna SZKOŁA przygotowawcza
Karola Schulza w Warszawie, ul. Św. Barbary № 10.
Telefon Nr. 36-04.

Przyjmuje chłopców nie umiejących czytać i z początkami, jak również zaniedbanych w naukach i przysposabia ich do 3-ciej klasy wszystkich średnich zakładów naukowych. Główny nacisk szk. kładzie na wyrobienie samodzielności w dzieciach i rozwój umysłowy. W szkole jest stosowany system angielsko-szwajcarski, który wyklucza wszelkiego rodzaju korepetycje w domu. Szkoła posiada najbogatsze muzeum szkolne, zawierające przeszło 10,000 okazów, 1500 obrazów i t. d., które zwiedzać mogą wszyscy, interesujący się wychowaniem młodzieży.

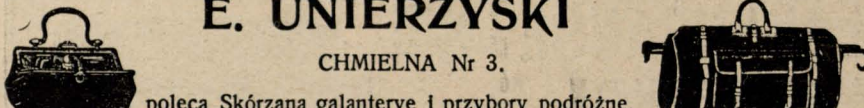
ZAKŁAD FRÉBLOWSKI, znacznie rozszerzony w nowym lokalu, przyjmuje chłopców i dziewczynki od lat 3-8.
Lekcje rozpoczyna się 2 września.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja
Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłódna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

E. UNIERZYSKI
CHMIELNA Nr 3.

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



Lekarz dentysta STEFAN ŻYCHKOWSKI NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

KSIEGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36
przeszła na własność GEBETHNERA I WOLFFA.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

SKŁADY NUT
GEBETHNERA I WOLFFA
W WARSZAWIE
Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda) Krakowskie-Przedmieście 15
Polecają

WIEDŃSKIE tanie wydawnictwa
nutowe w tomach
„UNIWERSAL-EDITION”

Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje **Richarda Straussa, Maxa Regera i wielu innych** w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.
„Universal Edition” zastępuje niemieckie wydania Petersa, Litoffa i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

Księgarnie Gebethnera i Wolffa
W WARSZAWIE,
Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9
pośredniczą
w prenumeracie pism
krajowych i zagranicznych
po cenach redakcyjnych.

KSIEGARNIA
GEBETHNERA I WOLFFA
w Warszawie
poleca:
WYBÓR POEZYI
ARTURA OPPMANA (OR-OTA)
wydanie nowe, zmienione i powiększone, z portretem autora.
Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele **WINCENTEGO LUTOSŁAWSKIEGO** p. t. „ROZWÓJ POTĘGI WOLI”, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.

Agentura nasza w Łodzi
„PROMIEŃ”
ulica Piotrkowska № 81
Telefon 1200
Przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia na rok 1909.

PATENTY
NA
WYNAZKI
Włodarkiewicz
i Sieklucki
Włodzimierska 16,
Egz. od 1886 r.

Michał Jasiński i S-ka
KRAK.-PRZEDMIEŚCIE 7
Tel. 18-32.